Szl. 12
Dr. Kowalski Edward
Poznań
Dąbrowskiego 100 m. 6

PIĘCIOLECIE 1945 — 1950

Cena 60 gr.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 26 listopada 1950 r. | Nr 47 (261)

Bolesław PIASECKI

WYTYCZNE

Środowisko „Dziś i Jutro" przeszło przez pięć lat swego istnienia długą i trudną drogę samodzielnych przemyśleń ideowo-politycznych. Praca ta, mająca na celu coraz bardziej głębokie określenie własnej pozycji ideologicznej i politycznej, musi być kontynuowana w dalszym ciągu. Tym niemniej z okazji pięciolecia naszego środowiska wydaje się słusznym zastanowić się nad tymi celami naszej działalności, którym niezmiennie staraliśmy się i zamierzamy nadal służyć.

Zasadniczym motywem naszej działalności było i jest: przyczynić się do wyzwolenia społeczeństw katolickich od powiązań z ginącym światem kapitalizmu. Najbardziej uprawnione potrzeby katolików jako ludzi wyznających i praktykujących wiarę świętą muszą być ideologicznie i praktycznie oddzielone od interesów kapitalizmu. Według przekonania katolików misją Kościoła jest być obecnym we wszelkich epokach. Dlatego tragicznie nieodpowiedzialnym jest pozwalać kapitalizmowi na nadużywanie religii dla obrony jego przesądzonego ideologicznie losu.

Walczymy z poglądem jakoby nie istniał w ogóle problem rozwiązania węzłów łączących katolicyzm z epoką kapitalizmu. Znamy i wyznajemy naszą katolicką doktrynę, która głosi, że prawdy religii nie stanowią wyrazu żadnej konkretnej epoki ludzkiej będąc dziełem Objawienia i działalności Ducha świętego w Kościele. Tym niemniej duża część katolików tak się przyzwyczaiła do życia w ustroju kapitalistycznym, że nawet widząc błędy tego ustroju i jego upadek, nie jest w stanie z nim zerwać.

Walczymy z poglądem, że współcześnie, kiedy stary świat mimo całej potęgi nagromadzonych zasobów degeneruje się i ginie, nowy zaś świat powstaje z konieczności nie tylko w entuzjazmie rewolucji, ale i w jej dramacie — że w tym okresie właściwą postawa katolików ma być koncepcja nieokreślonej biernej trzeciej siły. Katolicy nie mogą być nieobecni, gdyż zawsze są odpowiedzialni. Jesteśmy przekonani, iż istotną konsekwencją postawy katolickiej jest aktywna obecność przy narodzinach i dojrzewaniu nowej epoki ludzkości.

Walczymy z rozpowszechnionym wśród konserwatywnych kół katolickich zwyczajem obdarzania środowisk myślących postępowo mianem złych katolików. Nie należy chronić się z naturalną ziemską postawą ideowo - polityczną za tarczę dogmatów wiary. My ze swej strony nie zarzucamy nikomu, że jest złym katolikiem. I przypominamy, że nawet „Ecclesia de internis non iudicat." Zarzucamy natomiast konserwatyzmowi katolickiemu, że jest historycznym krótkowidzem.

Drugim konsekwentnym kierunkiem działalności naszego środowiska jest usiłowanie dania możliwie największego publicystycznego oraz ideologicznego wkładu w dzieło chronienia narodu polskiego przed dywersją.

Różne są postacie dywersji.

Publicystyka nasza wykazywała i wykazywać będzie, jak szkodliwą z punktu widzenia interesów narodowych jest najbardziej brutalna postać dywersji w formie konspiracji i agentur wywiadów obcych. Szerokie ambicje konspiracji zlikwidowała przede wszystkim rozwijająca się świadomość polityczna mas, które zrozumiały sprzeczność interesów polskich z potrzebami wojennego obozu anglosaskiego. Tym niemniej wrogie interesom narodu polskiego wywiady potrzebują agentów. Dlatego trzeba stale pogłębiać uświadomienie opinii.

Publicystyka nasza przeciwstawia się także subtelniejszej, ale i głębszej formie dywersji, jaką jest brak odwagi przeprowadzenia uczciwej rewizji poglądów na przeszłość. Dla większości katolików, którzy dojrzeli przed rokiem 1944 tylko krytyczne ustosunkowanie się do własnych poglądów i własnego postępowania może być okazją do zdobycia poczucia odpowiedzialności ideowo-politycznej. Wszelkie hamletyzowanie na temat sprawy narodu, wszelki katastrofizm ideologiczny płynie z braku odwagi określenia własnych błędów i wynikającego stąd braku możliwości podjęcia decyzji niepopełniania ich na przyszłość. Z rewizją przeszłości musi się łączyć rewizja postaw, na których buduje się perspektywę przyszłości. Nieznajomość potęgi sił rewolucyjnych działających w świecie, nieznajomość bezwzględnego i brutalnego, integralnie związanego ze światowym systemem kapitalistycznym egoizmu, własny sentymentalny i prowincjonalny konserwatyzm — oto były podstawy, na których wielu z Polaków budowało naiwną, lecz jakże szkodliwą w skutkach dla losów narodu perspektywę przyszłości. Masowa akcja w obronie pokoju aktualizuje zagadnienie właściwych podstaw budowania perspektywy przyszłości. Zwolennicy wojny mogą się bowiem rekrutować jedynie z tych, którzy nie przeprowadzili rewizji podstaw, na których budowali błędne wyobrażenia przyszłości.

Stopień, w jakim środowisko nasze przyczyniło się do zawarcia porozumienia między Kościołem a Państwem w Polsce oraz do poparcia przez Kościół w Polsce akcji pokojowej, traktujemy jako zasadniczy dla nas wkład w realizację dwu powyższych wytycznych naszej działalności.

Ostatnim z podstawowych trwałych kierunków naszego działania jest wypracowywanie teoretycznej i praktycznej formy udziału wierzących katolików we współczesnej rewolucji socjalistycznej. Zadania tego nie ułatwimy sobie imputowaniem marksistom, że zamierzają porzucić zasady materializmu filozoficznego, które są nie do pogodzenia z doktryną katolicką. Przeciwnie, stawiamy jasno sprawę odrębności światopoglądów i konsekwencji tej odrębności. Tym niemniej wypowiadamy to ściśle, że z obozem rewolucji łączą nas nie tylko nakazy współczesnej racji stanu, łączy nas nie tylko przeświadczenie o celowości wyzwolenia świata od kapitalizmu, ale łączy nas także przekonanie o potrzebie realizacji socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Dlatego w stosunku do obozu rewolucji jest dla nas aktualny nie tylko moment taktyczny — współdziałania, ale także moment ideologiczny — problem współżycia wyznawców światopoglądu religijnego i materialistycznego.

Pięciolecie istnienia „Dziś i Jutro" zastaje naszych czytelników i nasz zespół w obliczu wielkich wydarzeń ideowo-politycznych międzynarodowych i wewnętrznych. Kierując się powyżej scharakteryzowanymi podstawowymi wytycznymi mamy przekonanie i ufność w to, że służyć będziemy rzeczywistemu dobru katolickiego społeczeństwa polskiego.

Bolesław Piasecki

Mikołaj ROSTWOROWSKI

Antoniemu Podsiadowi

Który idziesz

...a jarzębina blednie
i ustał wiatr i kos oniemiał;
niebo letnie
jak banknot strzępisz na spojrzenia.

Daleki-bliski,
nietknięty zgrozą,
— w przeddzień narodzin twych, braciszku,
świat gasił pożar.

W szumie wiklin
nacichał kulomiotu terkot
byś, kolan zginać nienawykły,
rosnął przychylony świerkom,

świty i zmierzchy tuląc w sobie
jak kwiat i drzewo,
do hardej sprawy dłoń sposobił,
usta do śpiewu.

Wschodzący runią na popiele,
czysty jak rytm brzozowych wierszy,
gdy gwałt jak perz osaczy zieleń —
— zdzierżysz?

Modlitwa

Słowem motylim
jak chronić młodość,
jeśli się, Ojcze, nie pochylisz
nad dzieckiem, nad urodą?

Grzebieniem łaski — włosów pszenicę —
podniebnie, jak topole, zaczesz.
Uzbrój do walki dłonie muzyczne,
ufne jak pacierz.

Palce, jak szpony
jastrzębia, zaostrz,
żeby na służbie myśli wcielonej
zdusił nieśmiałość.

Spraw, niech przyrośnie prawda młodemu
do ust — jak lutnia
bo choć dotkliwa jest grzechu przemoc,
boleśniej, kiedyś Ty posmutniał.

Żeby miał wiarę, nadzieję, miłość
i jak pochodnia — moc nad nocą —
niebo pod brwiami od lat pyłu
ocal!

NA TROPACH NEO-HITLERYZMU [II]

WEHRMACHT PO RAZ TRZECI

„Wehrmacht und Volk waren eins."
(Ludendorf 1919).

Już od XVIII wieku specjalny styl, który nazywa się „duchem pruskim", stwarzał nie naród niemiecki, ale junkrzy. Dzięki specjalnym przywilejom, junkrzy obsadzili w całości korpus oficerski w Prusach, a począwszy od żelaznego kanclerza w ogóle w Niemczech. Nic dziwnego, że w kraju opartym na armii za właściwego reprezentanta narodu uważano sztab.

Sztab parł w 14 roku do wojny, mimo że wojna nie była popularna w narodzie. Wyjątkowo w 39 r. parł do wojny wbrew sztabowi — sam Hitler. Sztab uważał wówczas wojnę za pozbawioną wszelkich szans udania, i tylko dlatego chciał ją odroczyć.

W 1950 roku prze do wojny znów sztab, tym razem odradzający się były sztab Hitlera.

Clausewitz, Moltke, Ludendorf i Hitler powtarzali przy każdej sposobności frazes, że naród i armia są jednością, mimo że za każdym razem wojna była narodowi narzucana.

Dzisiaj, choć jeszcze oficjalnej armii niemieckiej nie ma, generalicja niemiecka jest już zapytywana przez przedstawicieli amerykańskich o opinię dotyczącą szeregu niemieckich spraw. Możemy być pewni, że z chwilą utworzenia nieoficjalnej armii niemieckiej czołowi generałowie czy marszałkowie będą się znów wypowiadać w imieniu „całego" narodu niemieckiego.

DER KRANKE MENSCH

Na tydzień przed waszyngtońską konferencją ministrów spraw zagranicznych w sprawie Niemiec Zach., Wysoki Komisarz amerykański Mac Cloy przyjął przewodniczącego Związku b. Oficerów Niemieckich generałbarona Geyr von Schweppenburga, celem otrzymania fachowej informacji o możliwościach i warunkach remilitaryzacji Niemiec. Gen. v. Schweppenburg, były wytrawny dyplomata i zawodowy wojskowy, odznaczony za zasługi w wojnie z ZSRR, występuje dziś jako rzecznik „sztabu" i „w imieniu narodu". Warto przytoczyć pokrótce ważniejsze punkty z jego memoriału, który nie oddaje w prawdzie opinii narodu, ale za to wyraża wiernie poglądy generalicji niemieckiej, która ma obecnie głos decydujący w sprawach niemieckich w Waszyngtonie.

Zachód znajduje się wg. memoriału między Scyllą a Charybdą. Niemożliwość „obrony" Zachodu bez udziału Niemiec z jednej strony jest Scyllą, możliwość przejścia potencjału zach - niemieckiego do przeciwnego obozu, jest Charybdą.

Zachód winien wykorzystać fakt, że „armia niemiecka podtrzymywana przez odradzający się nacjonalizm mogłaby rozpocząć wojnę o odebranie straconych terenów wchodnich". „Naród niemiecki akceptuje ideę Pan-Europy. Akceptuje ideę pojednania z narodem francuskim, dawnym „bratem-wrogiem". Ale naród niemiecki nie akceptuje tego za wszelką cenę i bez otrzymania zupełnego równouprawnienia".

Następnie gen. Schweppenburg omawia konkretne warunki. Memoriał podkreśla, że nie ma mowy o uczestniczeniu Niemiec w armii europejskiej jako dywizji drugorzędnych, jako kontyngentu zbrojnego. Żaden Niemiec nie włoży munduru, dopóki ostatni b. wehrmachtowiec nie zostanie zwolniony z więzienia. Oczywiście, „żaden Niemiec" oznacza w pełnym fałszów języku Schweppenburga tyle co „żaden entuzjasta Bonn". Generalicja żąda „w imieniu narodu" stworzenia silnej armii niemieckiej (słaba armia niemiecka ich zdaniem nie ma sensu), skoncentrowania tej armii na linii „obronnej" Łaby i włączenia jej na równych prawach do armii atlantyckiej.

W zakończeniu memoriału czytamy: „Jałta i skutki iluzorycznej polityki Roosevelta względem ZSRR nie zostały zapomniane pomimo pomocy amerykańskiej, i fakty te ciążą politycznie na duszy niemieckiej".

Hitler nazwał Roosevelta chorym człowiekiem. „Chory człowiek", dziś iluzjonista. Widać niewielkim zmianom uległa myśl polityczna generalicji niemieckiej.

BRUDERSCHAFT

Gen. Hasso von Manteuffel jest szarą eminencją przy rozstrzyganiu wszystkich spraw polityczno-militarnych w zachodnich Niemczech. Jego przeszłość była bujna w zdarzenia. Oto one: Manteuffel — generałem broni pancernej w czasie walk w Ardennach, Manteuffel — dowodzącym sławną dywizją pancerną „Grossdeutschland", wreszcie Manteuffel — więźniem brytyjskim. Zwolniony został w 1948 r. Od tej pory Manteuffel — brytyjskim mężem zaufania. Poza tym jest urzędnikiem najbogatszego człowieka w Niemczech, Bankiera Pferdemenges'a.

Stąd jego wielkie wpływy w sferach kapitalistycznych Niemiec i tak licznie reprezentowanych w Niemczech sferach kapitalistycznych USA. Sfery te, działające poprzez podstawione przez siebie marionetki stanowią główną siłę mobilizującą remilitaryzm niemiecki.

Generał Manteuffel działa zakulisowo. To on właśnie dzięki swym stosunkom przeprowadził legalizację w strefie amerykańskiej nowej organizacji polityczno-wojskowej pod nazwą Bruderschaft (Braterstwo). Zadaniem Bruderschaftu jest zjednoczenie całego szeregu drobnych organizacji skupiających dotychczas b. oficerów hitlerowskich, a gdy nadejdzie odpowiedni moment, uznanie się za sztab niemiecki. Jak widać, organizacja o tak pojednawczej nazwie jest obliczona na przeciwieństwo pojednania, na wojnę. Tylko w razie wojny może zajść oczekiwany przez organizację moment. Bruderszaft liczy około 7 tysięcy członków. Jej organem najwyższym jest czterogłowa Bruderrat (Rada Bruderschaftu).

Bruderschaft staje się dziś czołową organizacją w życiu politycznym Niemiec Zachodnich. W jej szeregi wchodzi kwiat ocalałej generalicji Hitlera. Są to: generałowie Halder, Stumpff, Guderian, Speidel, Graf v. Schwerin — doradca wojskowy Adenauera, v. Schweppenburg, Otto, gen SS Remer — krwawy likwidator organizatorów spisku na Fürera z lipca 44 r., a ostatnio prawdopodobnie świeżo zwolniony Mannstein. Pomimo iż Manteuffel formalnie do Bruderschaftu nie należy, jest jej faktycznym Führerem. Szereg jego oficjalnych wypowiedzi zarysowuje wyraźnie cele tej organizacji. Oto wyjątki z jego pism do kanclerza Adenauera: Manteuffel wskazuje na konieczność utworzenia „30 doświadczonych dywizji pancernych ożywionych duchem słuszności sprawy". Kiedy indziej oświadczył on w imieniu generalicji: „Politykę iluzji zastąpiła polityka równowagi sił". O tej równowadze mają zadecydować pancerne dywizje niemieckie. „Dopóki istnieć będzie on utworzenia nie 30, jak tego dochoćby część Europy żyjącej chcemy mieć nadzieję walki, o ile zajdzie potrzeba".

Bruderschaft jest ośrodkiem politycznym, który w miarę wyścigu zbrojeń na zachodzie wzrasta na znaczeniu. Nie ulega wątpliwości, że z chwilą oficjalnego utworzenia armii, Bruderschaft będzie stanowił jej sztab główny. Główną rolę w nowym sztabie będą odgrywać b. generałowie hitlerowcy, specjaliści od broni pancernej. Są nimi generałowie: Guderian, Manteuffel i Speidel

Jerzy OSKARDY

(b. szef sztabu marszałka Rommla). Pierwszy z nich jako wybitny fachowiec obejmie prawdopodobnie dowództwo naczelne, drugi kierownictwo polityczne armii.

W lipcu br. sekretarz Rady Bruderschaftu major Beck-Broichsitter powiadomił gen Stumpff'a iż zostanie głównodowodzącym przyszłej „Luftwaffe". Gen. Stumpff przedłożył już projekt jej organizacji.

21 lipca miała miejsce w Stuttgarcie tajna konferencja. Wzięli w niej udział: z jednej strony wyżsi oficerowie USA, a jako przyjmujący rozkazy — 20 oficerów wyższych z Bruderschaftu. Po raz pierwszy doprowadzono do wspólnych konkluzji. Przytoczymy je w punktach:

1) Zostanie utworzony rodzaj „policji" pod nazwą „Bundesschutz", składający się z 75.000 ludzi,

2) Z tej liczby 40 tysięcy będzie stanowić broń pancerną,

3) 20 tysięcy — piechotę,

4) 15 tysięcy „Luftwaffe".

Te cyfry interesują nas nie jako autorytatywne, bo zaszły już w nich zmiany, ale jako wyrażające stosunek między poszczególnymi broniami.

Bruderschaft żąda potężnych sił pancernych, potężnej Luftwaffe. Do reszty nie pretenduje.

BRUDERSZAFT I BONN

Bruderschaft, aczkolwiek jest organizacją formalnie nie mającą nic wspólnego z „rządem", współpracuje z nim bezpośrednio. Punkty memoriału złożonego przez Związek b. Oficerów Niemieckich, zarówno jak warunki wyliczone w osobnym memoriale gen. Manteuffla, znalazły natychmiast potwierdzenie w warunkach postawionych przez „rząd" z Bonn wobec USA

Kanclerz Adenauer ominął drogę parlamentarną. Wziął na siebie pełną odpowiedzialność za tworzenie armii. Z końcem lipca br. zażądał magał się Manteuffel, ale 35 dywizji pancernych. Również za swej bytności w Waszyngtonie domagał się Adenauer szybkiego utworzenia armii niemieckiej, finansowania jej przez USA i wzmocnienia „obronności" Niemiec przez szybkie zwiększenie ilości dywizji amerykańskich na terytorium Niemiec.

Żądania gen. v. Schweppenburg aby z Łaby stworzyć „linię obronną" wydały się politykom z Bonn zbyt skromne. Przewodniczący Socjal-Demokracji dr Schuhmacher oświadczył, że koncentracje armii zachodnich muszą być tak silne, aby były w stanie zacząć ofenzywę „na wschód od dawnych granic Niemiec Wschodnich". (!)

Zdanie dr Schuhmachera podziela również wiceprezydent parlamentu federalnego Carlo Schmidt. Oświadczył on, że nie chce by Niemcy stały się „ziemią spaloną", natomiast woli, aby Polska dzieliła ten los. Doradza więc „mądry" prezydent stosowanie takiej taktyki, aby „..doprowadzić do walki w rejonie Wisły"(!).

Tych parę faktów wystarczy chyba dla poparcia tezy, że Bonn i Bruderschaft idą ręka w rękę ku wspólnemu celowi jakim jest odrodzenie potęgi militarnej Niemiec.

Jerzy Oskardy

NOTATNIK POLITYCZNY

Ludzie wszystkich narodów, ras i poglądów

W czwartek 16 listopada 1950 r. o godz. 19.30 przewodniczący Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, prof. Fryderyk Joliot-Curie ogłosił w obecności 1396 delegatów z 61 krajów w Domu Słowa Polskiego w Warszawie Drugi Światowy Kongres Pokoju za otwarty. W chwili kiedy piszemy dzisiejszy notatnik, Kongres jeszcze trwa w całej pełni i dopiero po jego zakończeniu, z pewnego dystansu ocenić będzie można w pełni jego polityczne znaczenie.

W tej chwili już jednakże, po pierwszych dniach obrad Drugiego Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Warszawie można wskazać na pewne charakterystyczne momenty olbrzymiego, światowego znaczenia Kongresu.

Kongres jest olbrzymią, nie posiadająca precedensu, niespotykaną w historii manifestacią na skalę światową. Kongres zebrał ludzi wszystkich narodów, ras i poglądów, którzy mówią w Warszawie jednym językiem — językiem walki o pokój. Wygłoszone zostały referaty zasadnicze: prof. Joliot-Curie i Pietro Nenni'ego, zabierali już głos w dyskusji: Eugenia Cotton i Aleksander Fadiejew, mówił włoski ksiądz katolicki, angielski konserwatysta i pisarz niemiecki. Wszyscy ludzie dobrej woli na całym świecie przysłali do Warszawy posłów pokoju.

Machinacje polityczne rządu brytyjskiego inspirowanego przez imperialistyczną politykę Stanów Zjednoczonych zawiodły. Kongres odbywa się, mimo że, jak dowodzi tajny dokument jakim jest okólnik rozesłany przez premiera brytyjskiego p. Attlee w połowie sierpnia do przedstawicieli rządu angielskiego w szeregu krajów opublikowany ostatnio przez praskie biuro Agencji Telepress, rząd brytyjski zrobił wszystko, by uniemożliwić odbycie się Kongresu. Czytamy w tym pouczającym dokumencie politycznym dosłownie: „Równocześnie rząd angielski doskonale zdaje sobie sprawę — uwzględniając potencjalne możliwości Kongresu — ze spoczywającego na nim zgodnie z Paktem Atlantyckim obowiązku uczynienia wszystkiego, co jest w jego mocy, by przeszkodzić odbyciu się Kongresu".

Jednakże rządowi brytyjskiemu nie udało się przeszkodzić tej olbrzymiej demonstracji woli pokoju mas całego świata. Kongres odbywa się, a niechlubna rola rządu brytyjskiego działającego na zasadzie presji politycznej USA została zdemaskowana, co przysporzyło p. Attlee niemało kłopotu z parlamentem i opinią publiczną w Anglii.

Ale odbywający się w Warszawie Drugi Światowy Kongres Obrońców Pokoju jest wydarzeniem politycznym nie tylko przez olbrzymią demonstrację woli pokoju ludzi wszystkich narodów, ras i poglądów Drugi Światowy Kongres radzi nad konkretnymi postanowieniami politycznymi, które miałyby wpływ na zachowanie i utrwalenie pokoju na całym świecie. Powiedzieliśmy już, że w tej chwili jest zbyt wcześnie na gotowanie oceny politycznych wyników Kongresu. Możemy już jednakże przedstawić jego główną treść polityczną i wytyczne prac.

Prof. Joliot-Curie postawił na Kongresie wniosek o zwrócenie się do Organizacji Narodów Zjednoczonych, by wypełniła ona swój obowiązek przed historią i ludzkością. Tym obowiązkiem jest utrzymanie światowego pokoju. Tymczasem jak wygląda rzeczywista sytuacja polityczna w ONZ. Stany Zjednoczone, podporządkowawszy sobie przy pomocy presji gosodarczej i politycznej głosy państw zachodnich, przekształciły ONZ w narzędzie swej agresywnej i imperialistycznej polityki. Nie ulega wątpliwości, że w tych warunkach ONZ nie jest organizacją, mogącą wypełniać zadania utrzymania i umacniania światowego pokoju. Słusznie więc powiedział prof. Joliot-Curie, że staje się coraz bardziej jasne, — iż najwyższą instancją, która narzuci imperialistom wolę ludów, jest ruch pokoju.

Interesują nas wszystkich konkretne polityczne osiągnięcia Kongresu, poza rolą wychowawczą tej masowej demonstracji zwolenników pokoju w nich upatrujemy pierwszorzędne znaczenie. Pietro Nenni w swym referacie przedstawił Kongresowi pięć punktów propozycji praskich dla przedstawienia sposobu ich rozwiązania światowej opinii publicznej Organizacji Narodów Zjednoczonych i poszczególnym rządom. W tych pięciu punktach sformułowano żądanie:

1. Zakazu broni atomowej
2. Powszechnego ograniczenia i kontroli zbrojeń wszelkiego rodzaju
3. Demaskowania wszelkiej agresji i potępienia interewencji zbrojnych w sprawy wewnętrzne narodów
4. Pokojowego uregulowania konfliktu koreańskiego zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych
5. Zakazu wszelkiej propagandy na rzecz wojny w jakimkolwiek kraju.

Dalsze konkretne propozycje przedłożył Kongresowi w swym przemówieniu delegat radziecki Fadiejew.

Fadiejew zaproponował:

1. By Kongres zwrócił się do wielkich mocarstw o przeprowadzenie na przestrzeni 1951 i 1952 roku redukcji powietrznych, morskich i lądowych sił zbrojnych od 1/3 do połowy,
2. By Kongres zwrócił się do Organizacji Narodów Zjednoczonych o stworzenie przy Radzie Bezpieczeństwa międzynarodowej organizacji kontroli, której zadaniem byłoby kontrolowanie przeprowadzenia redukcji zbrojeń oraz wykonywania zakazu używania i produkowania broni ludobójczej: atomowej, chemicznej i bakteriologicznej
3. By kontrola ta dotyczyła nie tylko zbrojeń zgłoszonych przez mocarstwa, ale i tych zbrojeń, do których rządy oficjalnie się nie przyznają.

Takie są propozycje radzieckie na Drugi Światowy Kongres Obrońców Pokoju.

Odbywa się dyskusja, w której Kongres analizuje te szystkie propozycje, by powziąć uchwały wytyczające formy i linie kierunkowe dalszego etapu walki o pokój. Po dyskusji tej spodziewamy się wiele, do Kongresu przykładamy specjalną wagę, ponieważ jasne jest dla nas, że Światowy Ruch Obrońców Pokoju, wobec niespełnienia swej roli przez Organizację Narodów Zjednoczonych, jest potężną siłą, zdolną skłonić tę organizację do wypełnienia jej zasadniczej roli, siłą zdolną praktycznie prowadzić dzieło pokojowego porozumienia między narodami i zmusić rządy imperialistyczne do zaniechania ich agresywnych planów.

ZA POKOJEM—JEDNOŚĆ NARODU

Wojciech KĘTRZYŃSKI

SKĄD I DOKĄD IDZIEMY?

Niebogata była spuścizna myśli światopoglądowej i ideologicznej, jaką odziedziczyły po czasach Polski przedwrześniowej młode środowiska katolickie w roku 1945. Natomiast ciężki był ładunek sądów i przesądów politycznych, filozoficznych, społecznych, z którego trzeba było się rozliczać po ciężkich doświadczeniach wojennych i w obliczu narastającej fali rewolucyjnych wydarzeń.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że dla polskiego katolika szykującego się w tym czasie do nowych zadań nie było w całokształcie dorobku naszej kultury pełnowartościowego pokarmu. Chcemy natomiast stwierdzić, że wszystko to, co było dostępne — było mimo wszystkiego niewystarczające, wymagało poddania procesowi dogłębnej rewizji.

„W okresie międzywojennym myśl spiritualistyczna budowała fragmenty, pisał na ten temat Bolesław Piasecki na łamach naszego pisma... Istotnej architektury nowego poglądu na świat nie ma. Całość twórczych osiągnięć przypomina część budowli porozkładanej na wielkim placu, na którym gmach ma dopiero być stawiany. Rzecz charakterystyczna przy tym, że wykończonych jest już wiele fragmentów, wiele upiększeń tej przyszłej budowli: Mistrzowie francuscy i włoscy, jak Bloy, Bernanos, Papini, Daniel-Rops, dużo nam powiedzieli o ustroju, o światłocieniach, jakie będą grały w katedrze naszego przyszłego poglądu na świat. Natomiast same plany — samo tworzywo i konstrukcja budynku jest jeszcze ciągle niewyraźna.“

Nade wszystko dorobek myślowy katolicyzmu polskiego znajdował się w tym czasie w znacznej mierze w dyspozycji tych właśnie, którzy nie zamierzali zeń czynnie korzystać. Zaskoczeni rozwojem wydarzeń i orzestraszeni perspektywą rozpoczynającej się na naszych ziemiach rewolucji, ludzie ci wycofywali się od pierwszej chwili na pozycje „wewnętrznej emigracji“, bądź to tej politycznej, co liczyła na szybką trzecią wojnę, jako na panaceum ideologiczne, bądź to na pozycje tej specyficznie katolickiej emigracji wewnętrznej, o której tak przekonująco pisała na naszych łamach Ida F. Goerres (Dziś i Jutro Nr. 258).

Taka była w roku 1945 świadoma, czy też nieświadoma postawa poważnej części starszej elity intelektualnej w obozie katolickim. Nie tylko jednak zbłąkanie w nowej epoce hamowało dynamizm ideowy tych środowisk. Ludziom tym wydawało się, że osiągnęli już sformułowania światopoglądowe i ideologiczne bliskie doskonałości. Nie byli więc oni bynajmniej skłonni do konfrontowania ich z doświadczeniami minionego okresu, ani z aktualną rzeczywistością. Nie pasjonowała ich krytyka popełnionych błędów. Jeśli na jakimś szerszym czy węższym odcinku głoszone poglądy nie pokrywały się z życiem — oznaczało to w sposób najoczywistszy — że właśnie życie nie miało racji. Tym większa była więc chęć ucieczki przed nim, przeczekania okresu zawodów, w przeświadczeniu zresztą, że rację musi nieuchronnie przyznać, tak a nie inaczej przepowiadana przyszłość.

Stąd w szeregach starszego pokolenia przeważała postawa wyczekiwania, a w twórczości intelektualnej — bądź to abstrakcjonizm bądź to przyczynkarstwo. Pełnowartościowe twórcze i aktywne umysły w pokoleniu starszym były w roku 1945 cennym, ale niestety rzadkim wyjątkiem.

POSTAWA MŁODEGO POKOLENIA

Czynne było natomiast pokolenie młodsze, pokolenie wychowane w latach międzywojennych, w okresie dla światopoglądu katolickiego niczym nie ograniczonej aktywności.

Stawialiśmy sobie nieraz pytanie i stawiamy je sobie po dziś dzień — w jakiej mierze młodzież wychowana w Polsce przedwrześniowej była rzeczywiście wychowana po katolicku? Niewątpliwie wyniosła przeważnie z domu, ze szkoły, z życia jakiś ogólny połysk myślowy i obyczajowy katolicki. Przeważnie praktykowała, brała śluby w kościele, tamże chrzciła swe dzieci i chowała swych zmarłych. W znacznej mierze uważała się za katolików. Świadomie więc stała na pozycjach spiritualistycznych.

Jakaż to była jednak katolickość?

Wierna i uczciwa, ale nieprzemyślana i nienowoczesna.

Przede wszystkim niewykształcona. Przeraża nas dziś podsumowanie bezmyślności i anty-intelektualizmu obowiązującego w tym czasie przeciętnego katolika. Który z nich bowiem, zaliczając się nawet do warstwy inteligenckiej, a nie będąc w tej dziedzinie specjalistą, brał z własnej inicjatywy do ręki pisma Ojców Kościoła, Augustyna czy Akwinaty, czy już choćby tylko Encykliki papieskie? W przeciwieństwie do katolicyzmu zachodnio-europejskiego, gdzie aż kipiało od nowych sformułowań, od odważnych, czasem aż nadto odważnych dociekań — w Polsce przedwrześniowej brakowało bodźców intelektualnych i kulturowych, budujących w młodych umysłach mocny i żywotny światopogląd katolicki. Z trudem przyjdzie nam dziś wymieniać polskie dzieła koncepcyjnie twórcze, docierające do szerszych mas przedwojennych katolickich czytelników. Bogata i wartościowa koncepcyjna literatura katolicka obca nie była w swej przeważającej części udostępniona szerszemu odbiorcy. Imprezy masowe, organizowane przez intelektualne ośrodki katolickie ograniczały się przeważnie do upowszechniania truizmów.

Czasopisma katolickie o wyższych ambicjach intelektualnych nie znajdowały masowego odbiorcy. Liczne były koła kulturalnych i wykształconych katolików, gdzie n i g d y nie brano do ręki poważniejszych katolickich czasopism. Tam raczej modna była prasa tzw. literacka, eklektyczna i efekciarska. Większość zadawalała się „Małym Dziennikiem“, bardziej wybredni „Kurierem Warszawskim“. Zagraniczną twórczością ideologiczną katolicką interesowano się mało. „Esprit“, „Vie Intelectuelle“, „Sept“ nie cieszyły się wzięciem. Snobujący się na zachód wybierali raczej „Revue des Deux Mondes“, magazyn ultra-prawicowy, późniejszy oręż Vichy.

W powieści katolickiej nad Chestertonem, Bernanosem czy Péguy górował Bourget, Bordeaux czy wyrafinowany Mauriac.

O tym czym karmiono masy katolickie w zakresie literatury i prasy popularnej — lepiej nie wspominać!

Z takim „tradycyjno-towarzyskim“ przygotowaniem, z nastawieniem na spokojne, aintelektualne, czysto osobiste przeżywanie swej wiary, wkroczyły masy katolików w burzliwy okres otwarty salwami 1939 roku.

PRZYGOTOWANIE INTELEKTUALNE

Były jednak w okresie międzywojennym również i ośrodki katolików aktywnych intelektualnie, głęboko religijnych, przeżywających mocno swe obowiązki w stosunku do pieniących się wokół zaniedbań. To Laski, Verbum, Lublin, to przede wszystkim „Odrodzenie“.

W tych ośrodkach zebrało się niewątpliwie wszystko, co kultura katolicka Polski przedwrześniowej miała najlepszego. Były tam światłe umysły, gorące serca i wiele prawdziwie pięknych porywów. Ośrodki te działały w niewątpliwie trudnych warunkach, mając do przezwyciężenia zarówno nacisk polityczny rzeczywistości przedwojennej jak i ospałość swego otoczenia. Jakkolwiek poważne były na niektórych odcinkach osiągnięcia tych ośrodków — ciąży na nich zarzut natury bardzo zasadniczej — nie zdołały one poważniej przeorać mentalności własnej społeczności.

Rzecz charakterystyczna — trudno dziś zebrać dokładniejsze dane co do zakresu i rezultatu prac podejmowanych przez te ośrodki. Pozostawiły po sobie minimalną spuściznę pisemną. Nie stworzyły żadnych trwałych „szkół“ czy kierunków intelektualnych, nie rozpracowały w sposób dostateczny palących problemów. Rzecz oczywista, dwadzieścia lat, to niewiele dla stworzenia pełnowartościowej akcji koncepcyjnej, Polska przedwrześniowa była uboga i rozdarta najróżniejszymi jałowymi problemami odwracającymi uwagę od problemów zasadniczych. Mimo tych usprawiedliwień trzeba stwierdzić, iż katolicka elita intelektualna nie potrafiła w tym czasie nadać swej społeczności jakiegoś określonego stylu życia i stylu myślenia.

Była przede wszystkim hermetycznie odizolowana tak od aktualnej problematyki, jak i od szerszych kręgów własnego społeczeństwa. Zastanówmy się nad takim faktem.

W pewnej chwili elita ta przeżywa mocny kryzys ideologiczny, coś zaczyna się burzyć i fermentować. Odzywa się mocny i tragiczny głos Henryka Dembińskiego, który piętnuje kwietyzm i elitaryzm wśród katolickiej inteligencji. Wokół Dembińskiego grupuje się środowisko „zbuntowanych“. Rewolucyjność haseł, młodzieńczy temperament grupy zaczynają niepokoić różnorodne „czynniki miarodajne“. Rozpoczyna się żywiołowy konflikt, w wyniku którego Dembiński opuszcza z trzaskiem przyjętą i obowiązującą linię społeczną, przybliża się do komunistów, by stać się następnie tej idei gorliwym bojownikiem. W tych właśnie szeregach Dembiński ginie w czasie wojny.

Polski Lammenais? Sprawa „Sillon“ o innym epilogu?

O sprawie Dembińskiego my, katolicy nic nie wiemy, albo prawie nic, tyle co doszło do nas z trzecich, czwartych ust. Przeciętny, nawet podkształcony katolik słyszał o niej tyle, co o zamachu na króla Stasia. Przecież to był krytyczny moment rozwoju młodej myśli katolickiej w Polsce. Przecież, jakkolwiek sądzić przebieg tej walki, to wówczas i tylko wówczas nad młodymi szeregami katolickiej elity intelektualnej przeleciał cień twórczego niepokoju. Może ci ludzie, którzy wówczas walczyli w Lublinie, byli prorokami tej problematyki, którą nam dziś przychodzi z takim trudem budować. Poszukajcie śladów tego przełomu. Znajdźcie opracowanie dziejów tej grupy i dziejów jej konfliktu z obowiązującą wówczas postawą katolicką, jego analizę doktrynalną, społeczną. Poszukajcie w katolickiej prasie powojennej, na łamach której widnieją nazwiska towarzyszy i oponentów Dembińskiego, jakiejś retrospektywnej próby analizy tamtego konfliktu. Nie znajdziecie tego! Dlaczego? Bo sprawa Dembińskiego zaginęła tak jak ginie intymny rodzinny konflikt zakończony tragicznymi decyzjami rozstania. Bo dreszcz ten targnął niegdyś tylko wąską elitą, nie dotarł do społeczeństwa, został zagłuszony i zapomniany. A ileż z niego można by dziś wyciągnąć pouczających wniosków.

Zamknięta w sobie, zamknięta w swej odciętej od przemian świata problematyce — warstwa ta nie przygotowywała się do roli aktywu przodującego w walce o chrześcijaństwo. Była i chciała być tylko wysokiej klasy grupą inteligencką.

LATA WOJNY

Przyszły ciężkie lata wojenne. Nieoczekiwana w środowiskach katolickich katastrofa państwa, kompromitacja reżimu, który jakkolwiek krytykowany, uosabiał w ich oczach solidarystycznie pojętą i uznawaną wówczas władzę narodową, znalezienie się oko w oko z ideą nacjonalistyczną, z którą tak chętnie przedtem flirtowano — to wszystko wymagało od środowisk katolickich niesłychanego wysiłku ideowego, podpartego realizmem politycznym.

W latach wojny brakowało i jednego i drugiego. Zawodziła zarówno szkoła chadecka jak i endecka. Pozostawał wyhodowany przez pokolenie olbrzymi ładunek patriotyzmu, którego ulokowanie oddano w ręce wyrachowanych speców od polityki dalekich od zasad chrześcijańskich. W te ręce powierzono w środowiskach katolickich zarówno losy narodu, jak i jego światopoglądu. Postawa katolicka, aktywność czynnych przed wojną katolickich środowisk — ograniczyły się w tym czasie do „pokrzepiania serc“ i podniecania patriotycznych nastrojów. Jeśli w tym czasie Kościół służył rzeczywiście i z całą ofiarnością za ostoję i ukojenie dla wszystkich ludzi tak strasznie cierpiących, jeśli swą akcją miłosierdzia ratował niejeden byt i chronił niejednego z tych, którym hitleryzm odmawiał prawa do istnienia — to z drugiej strony w żadnej mierze ośrodki katolickie nie potrafiły opanować biegu wydarzeń, nadać im własnego kierunku, lub choćby własnej treści.

Uderza brak zorganizowanej i wyodrębnionej aktywności katolików w okresie, gdy tok wypadków tak jawnie gwałcił przykazania Boże i naukę Kościoła. Czy można w jakiejkolwiek mierze porównać postawę i wyniki pracy koncepcyjnej polskich i francuskich środowisk konspiracyjnych katolickich w latach wojennych? Powstałe w czasie wojny ośrodki o postawie katolickiej w swej znacznej większości nie przetrwały specyficznej koniunktury podziemia i nie pozostawiły po sobie prac koncepcyjnych, użytecznych w okresie powojennym.

Toteż rok 1944 i 1945 zastaje ośrodki katolickie rozproszone, w chaosie myślowym, niepewne kierunku i postawy wobec nadciągających z szybkością burzy rewolucyjnych wydarzeń.

NOWE ZADANIA

Jakkolwiek może to trącić megalomanią, [illegible] trzeba stwierdzić, że w roku 1945 byliśmy głęboko przekonani, że na odcinku wytyczania właściwej postawy światopoglądowej katolików na nowy okres — wszystko było dopiero do zrobienia. Nauka Kościoła Katolickiego, zręby katolickiej filozofii, chrześcijańskie zasady społeczne, linie generalne historycznej kultury polskiej i własnej kultury katolicyzmu, wreszcie elementy racji stanu własnego narodu— oto były elementy, do których trzeba się było dokopać, oczyścić je z fałszu własnych, subiektywnych przesądów, zestawić w harmonijną całość i wbudować w nieznany nam grunt nowej, narastającej dopiero rzeczywistości.

Rzeczywistość ta jednak w niczym nie przypominała tej niebezpiecznej, bo usypiającej sielanki, jaką w okresie międzywojennym sztucznie wokół katolicyzmu polskiego utworzono.

Poprzez wyłamane drzwi od polskiego zaścianka przyszłość narodu polskiego wyszła na szerokie gościńce światowych przemian. Odpowiedzialność za losy narodu przestała być czczym frazesem od wielkiego święta czy od wyborczej propagandy. Odpowiedzialność za losy narodu mierzyć się zaczęła konkretnym wkładem i konkretnym osiągnięciem, których sędziami stają się coraz bardziej masy społeczne, coraz to bardziej świadome swych praw i swych potrzeb. Odpowiedzialność wymagała wyrównania tempa dziejów polskich z dziejami świata. Wielu nie podobało się takie tempo. Nie rezygnując jednak z pretensji do roli kierowniczej — domagali się oni dla siebie prawa do czekania, aż tempo i kierunek wydarzeń przybliży się do ich wymogów. Natomiast w nowych, powojennych warunkach, wziąć na siebie przypadającą część odpowiedzialności za losy własnego narodu oznaczało przyjęcie obowiązku realizowania polityki interesów narodowych w tych warunkach i w tych ramach, jakie stwarzała zupełnie nowa i odmienna od przedwojennej koniunktura.

Realizowanie postawy odpowiedzialności za losy własnego narodu wymagało ponadto pełnej świadomości współczesnej problematyki tak wewnętrzno-polskiej, jak i światowej, wymagało przeto posiadania mocnej konstrukcji światopoglądowej i postawy ideowej zdolnej do dania odpowiedzi na każde z ważnych i aktualnych zagadnień dnia. Stąd postulat udziału środowisk katolickich w powojennej rzeczywistości wymagał wielkiego wysiłku intelektualnego, wymagał zapełnienia luk myślowych, jakie pozostawił okres międzywojenny, wymagał wytężonej pracy filozoficznej, społecznej, ekonomicznej, politycznej. W oparciu o niezmienną naukę Kościoła Katolickiego trzeba było budować nowe horyzonty myślowe i nową, ale to zupełnie nową wizję ustroju, w którym katolicy mieliby spełniać przypadającą im misję.

Trzeba było następnie uświadomić sobie, że skończył się okres uprzywilejowanej pozycji, jaką cieszył się katolicyzm w kulturze polskiej. Obok światopoglądu spirytualistycznego, w którym zasady naszej wiary rozwijały się bez oporów i konfliktów, zaczął rozrastać się światopogląd marksistowski, w którym nie było miejsca dla pojęć poza-doczesnych. Gdy postawa katolickich kół konserwatywnych ograniczała się do stałego przypominania dotychczasowych praw i przywilejów, postawa środowisk postępowych wyrażała się w wysiłku ustawienia problematyki i swego działania na poziomie nowych warunków. W niczym nie rezygnując z

(ciąg dalszy na str. 4)

Skąd i dokąd idziemy?

(dokończenie ze str. 3)

przeświadczenia, iż tylko katolicyzm posiada Prawdę i że Jej miejsce nie może być przez nikogo zajęte — postawa postępowa rezygnowała z prób obwarowywania posiadanej Prawdy formalnymi przywilejami. Domagała się natomiast zapewnienia Jej w pierwszym rzędzie wysokiej klasy świadectwa osobistej moralności, następnie zaś świadectwa intelektualnej i społecznej dojrzałości Jej wyznawców.

Trzeba było wreszcie skłonić katolików polskich do zajęcia wobec przemian świata postawy misyjnej. Trzeba było postawić przed polską społecznością katolicką zadanie przejścia z postawy światopoglądowo - konsumpcyjnej ku postawie produkcyjnej. Rzecz oczywista, postawa misyjna winna była skłaniać rzesze katolickie do interesowania się przemianami świata nie od strony własnej wygody, czy własnych przyzwyczajeń, lecz od strony stwarzania w nowej epoce warunków rozwoju dla własnej religii i dla własnych idei. Jeśli postawa taka musiała skłaniać do zajmowania wobec świata marksistowskiego stanowiska najbardziej obiektywnego i wyróżniania w nim elementów nam bliskich od zasad nam obcych, to jednak misyjność właściwie pojęta skłaniała przede wszystkim do intensywnej pracy nad sobą, nad własnym środowiskiem, nad własną, rodzimą kulturą katolicką. Stąd ożywione zainteresowanie doświadczeniami i osiągnięciami katolików w innych krajach, chęć wyłamania się z dotychczasowej izolacji. Stąd chęć dotarcia do źródeł dziejących się w świecie przemian, chęć pełnego ich zrozumienia i uczestniczenia w nich w tej mierze, w jakiej pozwala nam na to nasza katolicka etyka. Katolicy polscy tylko wówczas spełnią bowiem swe zadania misyjne, jeśli osiągną poziom wyrobienia co najmniej równy najlepszym w skali światowej społecznościom chrześcijańskim, a jednocześnie wykażą się wobec niekatolickich środowisk postawą prawdziwie uspołecznioną i uczciwie otwartą na wszystko co dobre, mimo iż nieraz przychodzi ono nie od katolików.

„REPENSER LA CULTURE"

W jednym z pierwszych numerów „Dziś i Jutro" przypomniano czytelnikowi polskiemu rzucone w roku 1938 przez Dominikanów francuskich hasło: „ Il faut repenser la culture".

„Trzeba na nowo, od podstaw, przemyśleć zasadnicze zagadnienia kultury (katolickiej), pisał wówczas Marian Jedlicz. Żyjemy bowiem wśród chaosu tak wielkiego, że nawet ludzie szczerze do prawdy chrześcijańskiej przywiązani przyjmują w różnych dziedzinach myśli systemy całkowicie z nią sprzeczne. Trzeba więc od nowa przemyśleć."

Zasady, przemyślane od nowa trzeba wprowadzić w czyn. Przed aktywnymi od roku 1945 młodymi środowiskami katolickimi stało zasadnicze zadanie — wychować nowoczesny, przystosowany do zmienionych warunków i do od nowa przemyślanego ideału kulturowego typ katolika.

Ambicje kształtowania nowego typu katolika bywają niebezpieczne. Grozi bowiem zawsze obawa, by środowisko świeckie, jakiekolwiek by były nawet jego wartości, nie rościło sobie pretensji do tej roli, jaką na polu wychowania ideału katolickiego spełniać może tylko Kościół Katolicki. Na tym też odcinku podział zadań musi być przeprowadzony niezwykle uważnie i nie mniej uważnie przestrzegany. Katolikom świeckim. w ramach im przysługującego zakresu działalności, przypada na odcinku wychowawczym ogromne zadanie kształtowania pojęć zewnętrznych, warunkujących wrastanie katolickiego ideału w zmieniające się warunki doczesne. Odcinek świecki, rzec można, uzbraja katolików w środki potrzebne dla ziemskiego rozwoju doczesnych form oddziaływania. Zasadnicza treść, istotny wykład nauki Chrystusowej — należy tylko do Kościoła. Do niego wyłącznie należy prawo kształtowania chrześcijańskiego sumienia. Świecki zaś troszczyć się ma o zastosowanie w życiu zasad, rządzących sumieniem.

Dalecy jesteśmy od możliwości ostatecznego przedstawienia całokształtu cech, które, naszym zdaniem i w naszych warunkach winny kształtować świecką aktywność polskiego katolika. Uświadamiamy sobie również, że ich pełne zrealizowanie w codziennej praktyce jest dopiero zadaniem do wykonania. Było niemniej ambicją naszej pięcioletniej pracy wykuwać jej zasadnicze zręby. Wydaje się nam, że trzeba się dziś pokusić o ich syntetyczne zarysowanie.

*

Formułując tę próbę syntezy musimy się też uczciwie zastrzec, iż jest ona owocem zarówno naszych oryginalnych prac zespołowych jak i licznych prac przychodzących z zewnątrz, od innych środowisk katolickich tak polskich jak i zagranicznych.

I. Warunki dzisiejsze wymagają od środowisk katolickich niezwykle aktywnej działalności zewnętrznej. Świat współczesny uległ dogłębnej dechrystianizacji. Życie dzisiejsze na wielu kluczowych odcinkach jest w swej zasadniczej treści zupełnie obce ideałom chrześcijańskim. By móc swą rolę nosiciela idei chrześcijańskich spełniać — katolik współczesny musi być zdolny do wykazania się energiczną, skuteczną i nade wszystko pozytywną w skutkach aktywnością na wielu odcinkach drugo- czy trzeciorzędnie związanych z istotnymi zadaniami Kościoła Katolickiego. Stąd zasadniczy postulat, przewijający się przez całokształt naszych zadań — postulat pełnego uspołecznienia tak w życiu osobistym, jak i w życiu poszczególnych katolickich społeczności. Świat zewnętrzny, niekatolicki, często niereligijny w ogóle sądzić będzie katolicyzm po jakości uspołecznienia poszczególnych formacji reprezentujących od ziemskiej strony Kościół Katolicki.

„Katolicyzm jest religią, ostrzega jednak Marian Jedlicz w jednym ze swych artykułów zamieszczonych w naszym piśmie, oto aksjomat, od którego nie może być żadnych odchyleń. Jest religią, a więc jego istotą — to intymny związek duszy ludzkiej z Bogiem; gdy się tę prawdę podstawową sprzed oczu gubi — wykolejenie jest nieuchronne. Niewłaściwa jest każda katolicka robota społeczna, która nie wiąże się harmonijnie z opanowaniem własnego wnętrza. Dlatego nie ma akcji społecznej bez idącej równolegle ascezy wewnętrznej".

Świadomi tej zasadniczej prawdy przyjęliśmy tezę, że współczesna postawa uspołecznienia musi być oparta o katolicyzm głębi, o taki katolicyzm, który istotnie przetrawia duszę ludzką, uszlachetnia ją, uodpornia i pozwala na realizowanie zadań ziemskich bez uszczerbku dla własnej duszy.

II. Teza o obowiązującym nas katolicyzmie głębi nie pozwala w żadnej mierze zadowalać się osiągniętym stanem wewnętrznego wyrobienia moralnego. Niemniej jednak przeżywając najpoważniej i najgłębiej swój własny katolicyzm — katolik współczesny nie ma prawa zapominać ani na chwilę, iż realizowaniem elementarnych wymogów miłości bliźniego jest stałe przeżywanie właściwych możliwości rozwoju katolicyzmu wokół siebie. Katolik nie żyje i nie rozwija się sam, rozwija się w społeczności innych katolików, za których jest również odpowiedzialny. Katolicyzm w przeciwieństwie do protestantyzmu jest religią uspołecznioną. Nawet wewnętrzna struktura Kościoła Katolickiego — jest strukturą społeczności — „Corpus Misticum Christi". Praktyka katolicka, choćby od strony czysto liturgicznej, ulegała, pod presją pojęć i obyczajów epoki mieszczańskiej, daleko idącemu zindywidualizowaniu. Jest zadaniem środowisk świeckich przywrócenie obyczajom katolickim ich pełnej, pierwotnej treści społecznej.

III. Obowiązuje nas wobec otaczającej nas zmieniającej się rzeczywistości postawa rzetelnego obiektywizmu. Katolicyzm żyje, żył dotychczas i żył będzie w świecie sobie obcym. W istocie okresy kryzysów, gdy rodzą się idee chrześcijaństwu przeciwne, płodniejsze są dla katolicyzmu od okresów pozornej ciszy.

W okresie nowożytnym stosunek katolików do otaczającego ich świata oscylował między niebezpiecznymi skrajnościami — postawą integryzmu i postawą modernizmu.

Wbrew podszeptom integryzmu nowoczesny katolik nie zamyka się przed światem, gdyż zdaje sobie sprawę, że przemiany świata niosą obok ludzkich błędów nowe wartości, których pominięcie mścić się będzie natychmiast.

„W przeciwieństwie do wielu katolików starszego pokolenia, związanych u nas przedwojennymi partiami, precyzował to stanowisko Jedlicz, elementy katolickie postępowe nie mają żadnych uprzedzeń a priori, potrafią zrozumieć i ocenić każde zamierzenie w swych moralnych założeniach dobre. Nie istnieje z tej strony żadna obawa potępienia wszystkiego w czambuł dlatego tylko, że inicjatywa ta wychodzi z innego obozu."

Przed niebezpieczeństwem zniekształceń modernistycznych, zatracających właściwy sens wiecznej i transcendentalnej postaci katolicyzmu broni współczesnego katolika stałe pogłębianie nauki Kościoła, dbałość o uszanowanie w przemianach świata trwałych wartości katolickiej kultury, wreszcie intensywny kontakt z łaską poprzez Sakramenty.

IV. Obowiązuje nas postawa twórcza, postawa walki a nie obserwacji. Katolicyzm napotyka w chwili obecnej na dwie różne jeśli chodzi o ich konsekwencje społeczne siły, obce jego ideałom — jedna z nich jest owocem rozkładu starego świata. Nie wnosi wartości, nie buduje. Przeciwnie — kontakt ze zgnilizną powoduje dalszy proces gnilny. Dla sił rozkładających ludzkość Ewangelia ma bowiem tylko słowa groźnego napomnienia. Przypomnijmy sobie komu przeznaczony był kamień młyński, stosunek do kupczących w świątyni, do faryzeizmu.

Stosunek katolika do tych sił, które dziś budują jutrzejszą treść stosunków międzyludzkich musi być pozytywny w tym wszystkim, co w dziele tym może być wartościowego. Z tymi jednak tendencjami i pojęciami, które sprzeczne są z duchem chrześcijaństwa — obowiązuje go walka.

„Walka „po katolicku" — to misja, przestrzega Jan Dobraczyński. Im ta misja jest trudniejsza, tym bardziej powinna być misją. Walka z przeciwnikiem mocą lepszego argumentu, a co ważniejsze: lepszego stylu życia . . ."

O chrześcijańskie oblicze świata współczesnego walczyć będziemy *tylko* siłą naszego katolicyzmu. Odrzucamy tu najkategoryczniej system zarówno „katolickich" obozów politycznych, jak i „katolickich" krucjat wojennych.

O przyszły ustrój ludzkości chcemy natomiast walczyć środkami politycznymi, zgodnymi z zasadami chrześcijańskiej etyki. Nie pojmujemy jednak naszej moralności kategoriami tej obłudy, która daje większe prawa jednostkom do krzywdzenia swych bliźnich, niż społecznościom do niedopuszczania do krzywdy.

V. Warunkiem zasadniczym zachowania przez katolików właściwej postawy wobec otaczającego ich świata — jest rozwój własnego światopoglądu równolegle z przemianami ludzkości, z pełnym zachowaniem wiecznych prawd Wiary. Trzeba stwierdzić, iż światopoglądowa praca katolików uległa w okresie nowożytnym zahamowaniu lub, co może lepiej odda stan rzeczy, że rozwój współczesnych pojęć o świecie odbywa się znacznie szybciej niż ich synteza w środowiskach katolickich. Stąd powstały luki i zapóźnienia, które wpłynęły z kolei na tendencje ku myślowemu i społecznemu konserwatyzmowi. Zadaniem współczesnej myśli katolickiej świeckiej jest wyrównanie tych braków. Kościół wskazuje na filozofię tomistyczną, jako najwartościowsze tworzywo światopoglądowe. Przyjmując ten system jako zasadniczą strukturę katolickiego światopoglądu — nie wolno się ograniczać do pojęć sformułowanych w okresie scholastyki, tak jak nie wolno ograniczać się tylko do nurtu myśli ściśle tomistycznej. Katolik musi umieć sięgnąć zarówno do bogatej myśli filozoficznej katolickiej nie-tomistycznej, jak i do zewnętrznych, poza-katolickich systemów. Katolicki znaczy bowiem tyle co powszechny.

VI. Ideologią nazywamy sformułowanie w oparciu o światopogląd katolickich zasad postępowania w aktualnym świecie. Obejmuje ona program zarówno budowania nowej treści międzyludzkich stosunków, jak i chronienia zasadniczych, trwałych humanistycznych wartości. *Ideologia jest zakłamaniem — jeśli nie zawiera w sobie zasad skutecznego realizowania postawionych założeń.* Zasadą ideowości jest służenie potrzebom społeczności, której, w granicach zapewniających własne zbawienie, trzeba umieć poświęcić swe własne przyzwyczajenia myślowe. Obyczajem rozplenionym w niektórych środowiskach katolickich jest utożsamianie nie tylko z ideologią, ale z zasadami katolicyzmu— swych własnych, bardzo przyziemnych i prozaicznych poglądów. Uważa się za punkt honoru nie zmieniać takich „przekonań" nawet wówczas, gdy interes wyższy, naszej społeczności, czy naszej wiary nawet, wymaga dokonania uczciwej rewizji pojęć przedawnionych czy błędnych.

„Są u nas bardzo mocne tendencje utylitarnego i odpłatnego ustosunkowania się do chrześcijaństwa. Od Opatrzności oczekujemy zwycięstwa naszej sprawy, powodzenia planów politycznych, ekonomicznych czy innych i każde niespełnienie się tych nadziei prowadzi do depresji moralnej. Chrześcijaństwo ma stanowić pobożną dekorację naszych osobistych konstrukcji i, gdzie trzeba, narzędzie osiągania tych celów".

VII. Świat wszedł w okres przemian, których cechą charakterystyczną jest obudzenie się świadomości i zdolności działania mas społecznych dotąd skrzywdzonych i ubezwłasnowolnionych. Pierwszy obudził się światowy proletariat, dziś budzi się świat kolorowy, świat kolonialnych niewolników. *Jest naszym obowiązkiem uznać pełną słuszność żądań tych mas, dążących do zniesienia tych form ustrojowych, które je trzymały w niewoli.* Rewolucja ta nie może się odbyć bez głębokich wstrząsów, bez dogłębnych przemian, wśród których zaginąć musi wiele dotychczas trwałych form życia, rządzenia się, posiadania. Nie jest zadniem katolicyzmu bronić poszczególnych, ginących ustrojów, tak jak sprzeczne jest z ziemską misją Kościoła przeciwstawianie się wyzwoleniu mas społecznych. Niezrozumienie i nieprzyjęcie merytorycznych konsekwencji tej rewolucji w światowej skali jest zajęciem postawy ideowej sprzecznej z rzeczywistymi prawdami katolicyzmu. *Nikomu też spośród rzeczywistych katolików nie wolno się przerażać ogromem prac stojących przed chrześcijaństwem w obliczu tak wielkiego przewrotu.*

Socjalistycznych form społeczno-ustrojowych nie dyktuje współczesnemu światu żadna fantazja ani żadne doktrynerstwo. Są one prostą konsekwencją ewolucji mas społecznych. Formy życia ustroju kapitalistycznego czy też jemu pokrewne skazane są na nieuchronną zagładę, gdyż nie pomieszczą tej treści, którą niesie perspektywa wyzwolenia się mas proletariackich.

Zajmowanie wobec rozgrywającego się na świecie wielkiego konfliktu dwu sił społeczno - ustrojowych stanowiska biernego, stanowiska „wewnętrznej emigracji" jest przejawem słabości tak ideowej, jak i doktrynalnej. Jednostka może bowiem zawsze uchylić się przed ciężarem długomyślnej odpowiedzialności, ani Kościół, ani żadna ze społeczności katolickich uchylić się jednak od niej nie może. *Świadectwo chrześcijańskie zaś ma swą pełną wartość tylko wówczas jeśli akt świadczenia jest aktem pozytywnego wkładu w większej mierze niźli aktem protestu.* Jakkolwiek więc istnieją dla każdego katolika nieprzekraczalne granice moralności, jednak w czasach tak trudnych strzec się musi, by nie utożsamiać swych indywidualnych trudności i słabości — z nakazami katolickiego sumienia.

VIII. Będąc katolikami jesteśmy jednocześnie członkami narodu polskiego. Mamy pełne prawo, również i obowiązek realizowania tak naszych zasad wiary, jak i przekonań ideowych w zgodzie z interesami i potrzebami własnego narodu. Jesteśmy obowiązani do najdalej idącego oszczędzania zasadniczych wartości moralnych, biologicznych, kulturalnych i materialnych jakie składają się dziś na nasz naród. Jesteśmy odpowiedzialni za to, by pojęcie „Polska" przeszło bez uszczerbku dla swych istotnych składników do tworzącego się nowego świata. Nie wolno nam jednak z drugiej strony utożsamiać z tym pojęciem wielu naszych dawnych przyzwyczajeń — jeśli są one dziś, siłą rozwoju światowych wydarzeń, przedawnione. W żadnej mierze polskość nie może być dla nas dziś bodźcem dla reakcyjności lub nawet tylko społecznej czy światopoglądowej bierności. Jest jednym obowiązkiem więcej — do spełnienia.

Oto, wydaje nam się, najogólniejszy zarys problematyki, jaką niesie katolikom w Polsce do przemyślenia rok 1950.

Wojciech Kętrzyński

Konstanty ŁUBIEŃSKI

PRZEBYTA DROGA

Przeglądając artykuły dotyczące zagadnień społeczno-gospodarczych, zamieszczone na łamach „Dziś i Jutro“ w okresie ubiegłych 5 lat, każdy z łatwością zauważy na przełomie 1948/49 wyraźne zajęcie stanowiska po stronie socjalistycznych form ustroju społeczno-gospodarczego. Dziś w piątą rocznicę powstania „Dziś i Jutro“ sądzę, że jest właściwy moment aby przynajmniej najogólniej przedstawić drogi myślowe naszego zespołu w zakresie zagadnień społeczno-gospodarczych, które doprowadziły nas do tego stanowiska. Wprawdzie uważamy, że praca jest daleka od ukończenia, tym niemniej wydaje się, że pewien dorobek myślowy mimo trudnych, bo angażujących w wiele innych zagadnień warunków powojennych został osiągnięty.

Na wstępie należy jednak podkreślić, że ramy artykułowe pozwalają tylko na bardzo ogólne ujęcie tematu, który był przedmiotem kilkudziesięciu artykułów, zamieszczonych na łamach „Dziś i Jutro“ i „Słowa Powszechnego“. Stąd będzie zachodzić konieczność dokonywania daleko idących skrótów, chodzi jednak tylko o zestawienie głównych myśli.

STOSUNEK DO KAPITALIZMU

W okresie wojny rozwijała się wśród nas świadomość konieczności budowy nowego ustroju, aby od początku działalności powojennej wyrazić się w bezwzględnie wrogim stosunku do kapitalizmu. Nie można jednak zaprzeczyć, że dopiero studia bogatej literatury socjalistycznej, od której wielu było w latach przedwojennych odciętych, czy to wprost mechanicznie (brak wydawnictw), czy to psychicznie (skutki propagandy), pozwoliły na pełne zrozumienie istoty kapitalizmu, jego społecznych i gospodarczych konsekwencji i w rezultacie na bezkompromisowe potępienie tego ustroju.

Kapitalizm oceniamy w trzech płaszczyznach: moralnej, społeczno-gospodarczej i politycznej.

Dla moralnej oceny kapitalizmu mogliśmy się oprzeć o autorytatywne oświadczenie Kościoła i liczne publikacje katolickich moralistów i socjologów. Trzeba jednak podkreślić, iż obok wyraźnych głosów potępienia znaleźć można i mniej ostre sądy. Tym niemniej należy stwierdzić, że ogólne stanowisko autorytetów duchownych i świeckich katolików w stosunku do kapitalizmu jest negatywne. Nasze stanowisko, które określiliśmy jako bezkompromisowe potępienie kapitalizmu pokrywa się w pełni z wypowiedzią znanego włoskiego publicysty katolickiego della Torre, który pisze: „kapitalizm jest bezbożny w swojej strukturze. Złoto jest jego bogiem, a nie Ten, który głosił dla wszystkich dostęp do złota, zarówno złota myśli, produktu ziemi lub warsztatu, jak i do złota pochodzącego z własności i pracy. Kapitalizm jest bezbożniczy nie w filizofii, której nie posiada, lecz w swej praktyce, która — nie jest to wcale gra słów — jest całą jego filozofia. Praktyka nienasyconych pożądań, łupiestwa, chciwości, wszechwładzy, panowania.“

Stronę społeczno-gospodarczą kapitalizmu pisarze katoliccy na ogół oceniają dość powierzchownie, stąd konkluzje, które wyprowadzają idą raczej w kierunku korektury kapitalizmu, a nie całkowitego obalenia. W oparciu o olbrzymią literaturę socjalistyczną, poczynając od Marksa, a kończąc na współczesnych pisarzach radzieckich, a także i zachodnio-europejskich, jak np. Bettelheim czy Dobb, uznaliśmy słuszność stwierdzeń, że kapitalizm na obecnym etapie rozwojowym musi nieuchronnie prowadzić do wzrastających antagonizmów pomiędzy klasami społecznymi, do niesprawiedliwego i błędnego ekonomicznie podziału dochodu narodowego, do kryzysów gospodarczych, powodujących bezrobocie i marnotrawstwo, do spadającej dynamiki rozwoju gospodarczego i w końcu do własnego unicestwienia.

Również polityczne konsekwencje kapitalizmu stają się w pełni zrozumiałe dopiero w oparciu o literaturę socjalistyczną, która wyjaśnia, dlaczego kapitalizm nie pozwala na współżycie i współpracę narodów oraz dlaczego nieuchronnie prowadzi do wojny.

Oczywiście powyższa ocena byłaby niewystarczająca, gdyby była oparta tylko o teorię. Potwierdza ją jednak praktyka dnia codziennego, każdy dzień bowiem przynosi nowe fakty, świadczące o trafności powyższych stwierdzeń, a zatem o słuszności bezwzględnego potępienia tego ustroju.

STOSUNEK DO SOLIDARYZMU I KORPORACJONIZMU

Życie nie znosi pustki. Jeśli eliminuje się kapitalizm, to oczywiście wyłania się pytanie jaki ustrój ma zająć jego miejsce? Socjologowie katoliccy wysunęli na przełomie XX w. jako koncepcję socjologiczną solidaryzm i na jego zasadach opartą koncepcję ustroju społeczno-gospodarczego tzw. korporacjonizm. Obie te koncepcje miały (względnie jeszcze mają) stanowić receptę uzdrowienia zgangrenowanego przez kapitalizm organizmu społecznego. Nie przeszliśmy obojętnie obok nich. Jako katolicy sięgnęliśmy oczywiście w pierwszym rzędzie do dzieł autorów katolickich. Dokonaliśmy i nadal dokonujemy analizy bogatej katolickiej literatury socjologicznej. Jednakże nie mogliśmy nie zwrócić uwagi na słabe punkty solidaryzmu i korporacjonizmu, które są tak istotne, że przekreślają realną wartość tych koncepcji, a co gorsza skierowują katolicką myśl społeczną na błędne tory.

W solidaryzmie rozróżnialiśmy dwa zagadnienia. Zagadnienie zasady moralnej, którą jak najbardziej uznajemy, lecz która po prostu jest równoznaczna z nakazem miłości bliźniego i „nie znajdujemy powodów, dla których należało by przechrzcić ją na „solidarność“ oraz tezy socjologiczne tej doktryny społecznej. I tę właśnie tezę kwestionujemy ponieważ jest oparta na fikcji, że aktualny podział klasowy społeczeństwa odpowiada jego naturze ludzkiej, a zatem jest słuszny i racjonalny i nie koliduje z postulatem harmonii społecznej. Konsekwencją takiej idealistycznej oceny rzeczywistości jest wysunięcie postulatu, który jest próbą „połączenia tego, co połączyć się nie da: systemu opartego na podziale klasowym z chrześcijańskim ideałem społeczeństwa braterskiego“. Mówienie o współpracy między ludźmi w oparciu o obowiązujący w świecie kapitalistycznym podział klasowy jest nieznośną hipokryzją. “Szczerze możemy mówić tylko w tym wypadku o serwilizmie człowieka rezygnującego z walki o prawa swoje i swoich współtowarzyszy niedoli z jednej strony i o interesownym patriarchacie z drugiej“. W rezultacie solidaryści nie tylko nie są w stanie zmienić rzeczywistości polegającej na nieustannych antagonizmach, lecz jakoby uświęcając podział klasowy, tę rzeczywistość utrwalają.

Korporacjonizm, który oparty jest o błędne założenie solidarności klas, już z tego samego powodu może być kwestionowany. Jednakże budzi poważne zastrzeżenia również z punktu widzenia jego realności ekonomicznej oraz możliwości realizacji postulatów społecznych.

Produkcja w ustroju korporacyjnym miałaby opierać się na małych i średnich przedsiębiorstwach prywatnych, wówczas, kiedy w wyniku postępu technicznego zachodzi powszechne zjawisko powstawania wielkich przedsiębiorstw zarówno przemysłowych jak i rolniczych. Hamowanie tego procesu byłoby równoznaczne z rezygnowaniem z dobrodziejstw postępu technicznego, a zatem byłoby sprzeczne z zasadą racjonalnej gospodarki. Również realizacja postulatu upowszechnienia własności na środkach produkcji nie dałaby się pogodzić z wprowadzeniem systemu planowania w skali całej gospodarki narodowej. Równocześnie projekty godzenia procesu powstawania wielkich przedsiębiorstw z postulatem upowszechnienia własności na środkach prokucji np. w formie tak zwanego akcjonariatu pracy, w praktyce życia nie wytrzymują próby. W końcu zarzut może najważniejszy. Pozostawienie prywatnej własności na środkach produkcji musi spowodować prędzej czy później przejęcie kierownictwa życia gospodarczego i politycznego przez kapitalistów, co oczywiście uniemożliwiłoby dokonywanie sprawiedliwego podziału dochodu narodowego, a to przecież stanowi podstawowy cel katolickiego ustroju korporacyjnego.

Obie te koncepcje należy traktować tylko jako próby korektury kapitalizmu. Tymczasem korygowanie tego ustroju na nic się nie zda, ponieważ jest on, jak to podkreśliliśmy, w swoich założeniach, w swojej strukturze, niemoralny i błędny.

Nasze krytyczne stanowisko w stosunku do solidaryzmu i korporacjonizmu płynie nie tylko z teoretycznych rozważań. Również praktyka wskazuje na słuszność tego stanowiska. Właśnie we Włoszech, a więc w kraju wydawało by się najbardziej odpowiednim dla prób realizacji owych katolickich wzorców społecznych, mieliśmy przykłady całkowitego ich niepowodzenia. Wzór Mussoliniego mimo tego, że zawierał wiele elementów korporacjonizmu, był w istocie rzeczy specyficzną formą kapitalizmu połączonego z totalnym systemem kapitalizmu. Również jako próbę nieudaną trzeba uznać 5-letni okres rządów partii chrześcijańsko-demokratycznej we Włoszech, mimo tego, iż rząd ten posiadał już pewne tradycje korporacyjne, poparcie tak wielkiego autorytetu jak kuria rzymska i wreszcie poważną pomoc materialną Ameryki.

KATOLICYZM I SOCJALISTYCZNY USTRÓJ SPOŁECZNO - GOSPODARCZY

Potępiając kapitalizm, krytycznie oceniając solidaryzm i korporacjonizm, staliśmy ciągle wobec zagadnienia, jaki ustrój należy budować. Wówczas uwaga nasza zwróciła się na to, co zaczęło dziać się wokół nas, na naszą polską rzeczywistość, na rewolucję socjalistyczną, dokonującą w naszym kraju gruntownych przemian społecznych i gospodarczych. Wówczas zaczęliśmy stwierdzać, że zasadnicze formy socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego nie tylko nie są sprzeczne z podstawowymi zasadami katolicyzmu, lecz że stwarzają olbrzymie możliwości realizacji katolickich postulatów społecznych, oczywiście tych postulatów, które wynikają z niezmiennych prawd katolicyzmu.

Weźmy pod uwagę kilka przykładów powyższego stanowiska.

Stworzenie społeczeństwa bezklasowego na drodze uspołecznienia środków produkcji zbliża członków społeczności „w ich życiu wewnętrznym i zewnętrznym, stwarzając w ten sposób podstawowe warunki dla braterstwa i przyjaźni, a więc katolickiego stosunku człowieka do człowieka“.

Otoczenie pracy ludzkiej i to każdej, zarówno fizycznej, jak i umysłowej największym szacunkiem, przyznanie każdemu człowiekowi prawa do pracy, oparcie podziału dóbr według kryterium społecznie użytecznej pracy, jednym słowem stworzenie społeczności ludzi pracy, to zasady odpowiadające jak najbardziej katolickiemu stosunkowi do pracy, który polega na uznaniu pracy, jako podstawowego czynnika rozwoju osobowego.

Zasada planowości w życiu społecznym, zapewniająca ład i celowość działania, umożliwiająca maksymalne wykorzystanie sił przyrody, jest bardzo bliska katolicyzmowi, który wskazuje na ład w życiu przyrodniczym wprowadzony przez Boga jako wzór do naśladowania i nakazuje pełne wykorzystywanie darów udzielonych przez Boga człowiekowi.

Tych kilka przykładów nie wyczerpuje oczywiście zagadnienia, w jakim stopniu zasady socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, stwarzają warunki dla realizacji katolickich postulatów społecznych. Zaznaczam, że to zagadnienie stanowi dla naszego zespołu jeden z głównych przedmiotów zainteresowań i prac intelektualnych. W niniejszym

(dokończenie na str. 6)

Tadeusz MAZOWIECKI

Myśli z naszej drogi

Fundament poglądu katolika na świat stanowią prawdy dane nam przez Boga, w ich wartości ponadczasowej, nieprzemijalnej. Na tym gruncie każda epoka tworzy budowle własnego stylu. Żyjemy w czasie nowego budowania. Nie chcemy tego czasu stracić. Budowla będzie trwała, jeśli nic w niej nie naruszy fundamentów.

*

Na drodze wielkiego ludzkiego przeznaczenia nie ma miejsca na sielankową bezmyślność. Trzeba ją odbywać w ustawicznym trudzie podnoszenia się myślą i czynem wzwyż, ku Bogu i wytrwałej pamięci, że ostatecznym naszym celem jest zjednoczenie z Nim. To — drogowskaz. Ale droga wiedzie przez kręte ścieżki ludzkiego bytowania, radosne zielenią pogody i smutne szarzyzną trudów. Wzrok skierowany ku Górze, nie pozwala zapominać o sprawach codziennego życia. Tu leży służba. Czynić to życie lepszym — to walczyć o przybliżanie się do Celu.

*

W duszy człowieka trwa stały konflikt, którego treść wypełnia walka z sobą samym, z własnymi błędami, zaniedbaniami i uproszczeniami. Zwycięstwo dobra w tej najtrudniejszej walce czyni człowieka silniejszym, z niego czerpie on radość i pogodę w pracy i osiąganiu wartości codziennego dnia.

Ludzkość rozdarta jest dziś głębokim kryzysem wewnętrznym. Załamują się utarte poglądy, zmieniają formy życia.

Zwycięstwo każdego z nas nad sobą samym, w naszym własnym, stale trwającym konflikcie musi dawać nam siłę do przezwyciężenia kryzysu współczesnej ludzkości.

*

W obliczu przemian współczesnego świata katolicy stoją pełni siły wynikającej z posiadania Prawdy i pełni słabości płynących z własnych błędów. Krytyka tych błędów jest twórcza wówczas, gdy stawia sobie za cel urealnienie katolickiego oddziaływania społecznego. Inaczej staje się jałowym dyskutowaniem problemów, z którymi rozmija się życie.

Rozwiązywanie zagadnień społecznych nie jest odgadywaniem zagadek w abstrakcji. Cała problematyka socjalna, którą tak wyraźnie nabrzmiewa współczesny świat, powstała z konkretnych potrzeb. Od nich nie wolno się odrywać. Odpowiadanie na nie broni przed utknięciem na intelektualnej mieliźnie.

*

Katolicyzm jest światopoglądem miłości. Słowa Chrystusa, w których miłość Boga i bliźniego czyni najwyższym przykazaniem, stanowią podstawę społecznej filozofii katolicyzmu i nigdy nie wyczerpane źródło aktywności ludzi wierzących.

W realizowaniu nakazu miłości nie ma dosytu. Miłość trzeba świadczyć zawsze i nigdy nie wolno zwolnić się od jej ciężaru. Obowiązuje to w równej mierze w życiu jednostkowym jak i zbiorowym.

Głębi chrześcijańskiego pojęcia miłości nie należy ograniczać tylko do ważnej, lecz niewystarczającej jednostkowej dobroczynności, za którą kryłaby się społeczna obojętność. Jej nakazy prowadzą do walki o społeczną sprawiedliwość.

*

Walka o sprawiedliwość społeczną łączy się z przeświadczeniem, że nie jest zadaniem katolików cofanie biegu historii. Ono to rodzi przekonanie, że myśl społeczna katolików winna być nastawiona ku temu, co powstaje, a nie ku temu, co zanika.

Zadaniem — personalizacja ustroju i humanizacja życia. Jedno i drugie jako społeczna służba chrystianizacji człowieka.

*

Nowe formy współżycia rodzą się pod naporem dążeń mas. Nie można być tylko intelektualnym przyjacielem mas. Zachowanie wygodnej wyższości, pretensje do przyjacielstwa wobec mas, pozostając wewnętrznie obcym ich codziennym troskom — wyklucza prawdziwą obecność w ich trudnej drodze.

Wchodzić w masy znaczy także uczyć się ich postawy wyrosłej z walki.

*

Istnieje dziś szczególna potrzeba kształcenia i pogłębiania odpowiedzialności. Za co? Za własne przekonania, za świadectwo, które mamy obowiązek dawać prawdom naszego światopoglądu w konkretnych stosunkach społecznych.

Do realizacji jakichkolwiek zadań potrzeba środków. Wśród nich trzeba dokonywać wyboru. W wypadkach wyboru, który wymaga trudnych wyrzeczeń, w wypadku wyboru spośród ograniczonej liczby możliwości ludzie opuszczają często bezradnie ręce i poddają się zobojętnieniu.

Zaniechanie wyboru jest też wyborem.

*

Trudna droga wymaga postawy konsekwentnej i ofiarnej. Decyzja jej podjęcia powstaje w wyniku rozważenia moralnej słuszności i społecznej skuteczności wyboru. Zachowanie obu tych warunków daje pogodę zdrowego optymizmu na najbardziej nawet trudnej drodze.

Zygmunt LICHNIAK

Z ROZWAŻAŃ O KULTURZE

(anno Domini 1950)

Dla wszystkich katolików jako wyznawców doktryny spirytualistycznej kultura jest najważniejszym i najpełniejszym wyrazem działania ludzkiego. Każdy proces kulturalny bowiem jest tym procesem, który angażuje pełnego człowieka, wyzwala w nim siły twórcze wszystkich stopni i odcieni: od mechanicznej sprawności palców do wizualnej sprawności wyobraźni czy intelektualnej sprawności umysłu. Poprzez najpełniejsze angażowanie całej osoby ludzkiej procesy kulturotwórcze najbezpośredniej służą rozwojowi, najbezpośredniej pomagają zbliżeniu skażonej natury człowieka ku tej doskonałości, którą wyznacza maksymalistyczna interpretacja zasad wiary katolickiej.

Z takiego rozumienia roli kultury wynikają dwa wnioski generalne.

WNIOSKI GENERALNE

Wniosek pierwszy: jeśli już konieczność gwałcąc prawdę zjawisk— zmusza do mówienia o odrębności takich zagadnień jak kultura i polityka, w żadnym wypadku nie wolno katolikowi mówić o służebnym stosunku kultury wobec polityki. Jeśli już katolik musi grzeszyć dezintegracją pojęć i naiwnym idealizmem, który skłania do odrębnego rozpatrywania tych kwestii, powinien — chcąc być w zgodzie ze spirytualistyczną zasadą hierarchizowania wartości — podkreślać służebność polityki wobec kultury. Stosunek tej zależności służebnej nie odpowiada, oczywiście, stosunkowi środka do celu, ani — tym bardziej — stosunkowi skutku do przyczyny, lecz jest stosunkiem narzędzia do środka, który przybliża realizację celu.

Wniosek drugi: kultura w rozumieniu katolickim nie może być celem sama dla siebie. Jej autonomię z genetycznego punktu widzenia dostatecznie podważa historia ukazując każdorazowy zespół uwarunkowań zewnętrznych, które czasami mają wpływ nawet bezpośredni na klimat, jakość i kierunek tendencji kulturalnych tej czy innej formacji historycznej. Oczywiście, zrozumienie konsekwencji wynikających z tych uwarunkowań staje się coraz bardziej powszechne. Zapomina się jednak o konsekwencjach innego, znacznie ważniejszego uwarunkowania kultury. Uwarunkowanie to jest zjawiskiem innej już kategorii lecz występować powinno tym bardziej wyraziście. Jest to uwarunkowanie teleologiczne. Kultura w spirytualistycznej hierarchii wartości doczesnych przede wszystkim dlatego zajmuje miejsce najwyższe, że służy oprócz przeżyć wyłącznie religijnych, najbezpośredniej wartościom ponaddoczesnym. Podkreślmy: służy. Usunięcie tej zależności służebnej wobec celów najwyższych czyni z kultury albo narzędzie doraźnych akcji politycznych, albo snobistyczną przyjemność niemal wyłącznie zmysłowego typu. I jedno i drugie pojmowanie roli kultury mało ma wspólnego z katolicyzmem.

Z dwóch powyższych wniosków generalnych wynikają przydatne dla rozważań o kulturze anno Domini 1950 uwagi pochodne.

UWAGI POCHODNE

Uwaga pierwsza: katolik nie może przedsięwzięć kulturalnych usprawiedliwiać potrzebą polityczną, natomiast może przedsięwzięcia polityczne usprawiedliwiać potrzebą kulturalną. Więcej: posunięcia polityczne katolika w ostatecznej konsekwencji działania doczesnego uzasadniają się i uzasadniać się muszą dążeniem do zagwarantowania szans rozwojowych kultury katolickiej. Oczywiście, granice tak pojętego działania politycznego określone są rygorami etyki chrześcijańskiej.

Uwaga druga: oddzielanie działalności kulturalnej od działalności politycznej należy traktować jako pomocniczy zabieg teoretyczny, w praktyce bowiem nie da się tu przeprowadzić wyraźniej linii demarkacyjnej.

Uwaga trzecia: im bardziej eliminuje się z pracy kulturalnej tzw. pierwiastek polityczny, tym wyraziściej dowodzi się skłonności do sztucznego teoretyzowania, do dezintegracyjnego przeżywania „kultury jako takiej", która może być i jest pojęciem filozoficznym, ale nie może być i nie jest realnym środkiem zdobywania celu, jaki przed nią stoi.

Uwaga czwarta: im bardziej złożone stają się zagadnienia społeczno-polityczne, im bardziej zasada współżycia różnych grup ludzkich zbliża się do zasady naczyń połączonych, tym zrozumialszy i bardziej zobowiązujący staje się postulat uwzględniania służebnej zależności między polityką i kulturą, tym dziwniejsza i mniej uzasadniona racjonalnie staje się tendencja oddzielania polityki od kultury.

Uwaga piąta: teleologiczna zasada rozumienia i oceniania kultury wyklucza nie tylko autonomiczność poszczególnych jej dziedzin, ale wyklucza także elitaryzm zjawisk kulturowych. Kultura zbliżać ma do Boga. Bóg jest najwyższym szczęściem. Skarbić to szczęście tylko dla siebie, tylko dla siebie zachowywać tajemnicę jednej z dróg wiodących do najwyższego szczęścia jest egoizmem, przeczącym wyraziście największemu z przykazań.

Uwagi dotychczasowe wymagają kilku zastrzeżeń, które zmniejszyć powinny niebezpieczeństwo nieporozumień.

ZASTRZEŻENIA KONIECZNE

Zastrzeżenie pierwsze: nie wolno w analizie żadnej z uwag pochodnych zapominać o głównej myśli pierwszego wniosku generalnego.

Zastrzeżenie drugie: nie można przerażać się rzekomymi postulatami upolitycznienia kultury, lecz dowodzenie powiązań integralnych między polityką i kulturą potraktować należy jako postulat urealnienia szans pracy kulturalnej.

Zastrzeżenie trzecie: nie wypada ludziom uczciwie i wnikliwie rozumującym oskarżać dotychczasowych uwag o chęć marksizowania katolicyzmu. Trzeba pamiętać, że wynikają one z teocentrycznego rozumienia świata. Na takie jego rozumienie nie zgodzi się żaden marksista. Na takio rozumienie świata zgodzić się może tylko katolik. Więcej: tylko na takim rozumieniu świata katolik opiera swoje o nim sądy.

Zastrzeżenie czwarte: nie należy w dotychczasowych sformułowaniach ogólnych, które są tylko koniecznym wprowadzeniem w pewien problem szczegółowy, upatrywać ostatecznego wyrazu czyichkolwiek przemyśleń kulturologicznych. Należy traktować je jako pisane myślenie, które sugeruje ogólny kierunek, ogólną tendencję rozwiązań.

' Zastrzeżenie piąte: nie powinna nikogo razić ani obrażać łopatologia i kawoławizm poszczególnych określeń, które służyć mają przede wszystkim przedstawieniu zagadnienia szczegółowego.

Zagadnienie to streszcza się w pytaniu: jak ustalono i jak realizowano program kultury katolickiej w Polsce w okresie przedwojennym i w okresie powojennym?

Konieczność zestawienia tych dwóch okresów wynika z dążności do obiektywizowania uwag, których zsumowanie powinno stanowić przedmiot baczniejszej uwagi wszystkich twórców kultury katolickiej w Polsce.

PRZEDWOJENNY „PROGRAM" BEZPROGRAMOWOŚCI

W okresie międzywojennym w ogóle nie ustalono i nie realizowano określonego programu kultury katolickiej. Był to okres partyzanckiej działalności kulturotwórczej wybitniejszych jednostek czy dynamiczniejszych środowisk. O zorganizowanej zespołowo i przemyślanej teoretycznie działalności kulturalnej nic konkretnego nie wiadomo.

Można wyjaśnić częściowo przyczyny owej inercji kulturalnej katolików polskich z okresu międzywojennego. Niewątpliwie ciążyły na nich polskie grzechy dziewiętnastowiecznego tradycjonalizmu, fideizmu i antyintelektualizmu. Niewątpliwie osłabiała ich gotowość i dynamizm apostolski sytuacja, która nie ukazywała tak wyraźnie, jak później, konieczności ciągłej pracy intelektualnej, ciągłej rozbudowy i ochrony przedsięwzięć kulturalnych. Niewątpliwie odbijało się na nich rozproszenie i różnokierunkowość myślowa okresu trzeciej niepodległości. Przede wszystkim jednak zabrakło jasnej świadomości, jasnego zrozumienia zadań kultury katolickiej w ogólnym procesie chrystianizacji życia.

Brak tej świadomości sprawił, że jedni podporządkowali ideały kultury katolickiej doraźnym celom politycznym, drudzy zastąpili je domowym bożkiem swojej „bezinteresownej" pasji kulturotwórczej. I jedni i drudzy zapomnieli o właściwej mierze i właściwym sensie osiągnięć kulturalnych.

PRZYCZYNY MARAZMU

Spłycenie lub uśpienie świadomości kulturalnej katolików Polski przedwrześniowej wyjaśniać można argumentami socjologiczno-politycznej i psychologicznej natury.

Socjologiczna i polityczna interpretacja wyglądałaby w ogólnym zarysie mniej więcej tak: katolicy polscy nie doceniając znaczenia zagadnień społecznych, a tym samym nie posiadając dostatecznie sprawnych narzędzi dla analizy tych zagadnień, ulegając oprócz tego historycznym błędom katolicyzmu XVIII, a zwłaszcza XIX stulecia, związali się w swojej wizji świata doczesnego z ustrojem wadliwie pomyślanym, lecz w tamtych czasach mającym pozory trwałości. W tej sytuacji nie dochodziła do głosu żadna filozofia, żadna koncepcja zagrażająca w zasadniczy i realny sposób koncepcji katolickiej. Nic nie prowokowało do polemiki. Nic nie przerywało sielanki samozadowolenia. Katolicy polscy nie czuli się zagrożeni społeczno-politycznym układem sytuacji międzywojennej. Brak tego zagrożenia powodował marazm.

Interpretacja psychologiczna tego stanu wyglądałaby mniej więcej tak: działanie rodzi się z niepokoju, niepokój mobilizuje, dynamizuje, uintensywnia wszystkie procesy życia wewnętrznego, niepokój zbogaca kulturę, każe myśleć, każe budzić się z uśpienia, a katolicy polscy tamtego dwudziestolecia nie znali niepokoju, byli przeraźliwie spokojni. Jakieś ruchy wewnątrzśrodowiskowe, jakieś dyskusje „Kółka" księdza Korniłłowicza, które rozszerzyło się w „Verbum", jakieś wątpliwości „Odrodzenia" czy „Kultury" poznańskiej albo zamykały się w wąskim elitaryzmie albo grzęzły jak deklaracje „Prosto

PRZEBYTA DROGA

(dokończenie ze str. 5)

artykule może będzie wystarczające stwierdzenie, że sam cel socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego, za który bezspornie można uznać rozwój materialny i moralny każdego człowieka, każdego narodu, a w rezultacie całej ludzkości, jest bardzo bliski postulatowi stworzenia najdogodniejszych warunków dla rozwoju osobowości każdego człowieka, do którego można sprowadzić całą katolicką problematykę społeczną. Powyższy cel w ogromnej mierze przesądza podstawowe zasady ustroju, które, jak widzieliśmy na kilku przykładach, są zbieżne z zasadami katolicyzmu.

Konsekwencją tej zbieżności jest fakt, że stosunek katolicyzmu do socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego jest dwustronny, to znaczy, że w ramach tego ustroju istnieją pełne możliwości realizacji katolickich postulatów społecznych, jak to powyżej podkreślono, a równocześnie zasady katolicyzmu, a w szczególności zasady etyki katolickiej w pełni praktykowane mogą przyczyniać się do pełnej realizacji społecznych celów socjalizmu.

Stanowisko powyżej naszkicowane nie jest oczywiście równoznaczne z jakąś bezwzględną akceptacją socjalizmu. Przede wszystkim podkreśla się, że akceptujemy podstawowe zasady socjalistycznego usroju społeczno - gospodarczego, a nie socjalizm jako całość, która obejmuje również marksistowski system filozoficzny, dla nas, katolików, obcy. Ponadto również i pewne formy socjalistyczne, w szczególności w trakcie ich tworzenia, mogą w pewnym stopniu kolidować ze wskazaniami katolicyzmu. Jednakże twierdzimy, że akceptacja podstawowych zasad ustroju socjalistycznego pozwala na współżycie i współpracę ludzi o różnych światopoglądach w ramach socjalistycznego państwa, co nie jest łatwe, tym niemniej ze względu na podstawowe cele społeczne socjalizmu, a one jednak stanowią jego istotę, jest to konieczne.

SPRAWA POLSKI

Chyba jest już truizmem, że przyszłość Polski w ogromnej mierze zależy od dwóch czynników: uprzemysłowienia i podniesienia dobrobytu społeczeństwa, co zawsze będzie się sprowadzać do dobrobytu mas pracujących, które w każdym nowoczesnym społeczeństwie stanowią jego bezwzględną wiekszość. Realizacja tych naprawdę gigantycznych zadań jest możliwa tylko w ustroju, który umożliwia mobilizację wszystkich sił, dzięki uspołecznieniu środków produkcji i systemowi planowania. Teza ta staje się szczególnie uzasadniona, jeśli uświadomimy sobie konieczność szybkiego nadrobienia straconego czasu w okresie niewoli, a potem w okresie międzywojennym.

Czy jednak tego rodzaju koncepcji nie należy traktować jako jednego z marzeń, do których tak jesteśmy skłonni? Nie, te perspektywy, które wyraża plan 6-letni, plan naprawdę wielki i pierwszy na taką skalę w historii gospodarczej Polski, znajdują silne oparcie w osiągnięciach ubiegłego 5-lecia. W błyskawicznej odbudowie kraju, w scaleniu gospodarczym nowych terenów z dawnymi, w olbrzymich osiągnięciach socjalnych, w niespotykanym dotąd nigdy w naszym kraju rozwoju oświaty, krótko mówiąc w realizacji planu 3-letniego, w realizacji z poważną nadwyżką, jak również w pomyślnym przebiegu pierwszego rocznego planu sześciolatki. Te wszystkie osiągnięcia zostały dokonane w wyniku działania szeregu czynników, a przede wszystkim dzięki ofiarnemu wysiłkowi całego narodu, lecz warunki dla ich dokonania stworzył właśnie socjalistyczny ustrój społeczno - gospodarczy. A więc ten ustrój wykazał już swą sprawność. Dlatego też mamy prawo twierdzić, że może on nadal zapewniać warunki dla dalszej realizacji najżywotniejszych interesów narodu.

SPRAWA POSTĘPU SPOŁECZNEGO W KRAJU I W ŚWIECIE

Nie można jednak w naszych czasach służyć Ojczyźnie w oderwaniu od innych społeczności, a właściwie od reszty świata. Świat stał się całością, jakby jednym organizmem. To, co dzieje się w naszym kraju w jakiś sposób wiąże się z tym, co dzieje się w krajach azjatyckich czy afrykańskich. Wystarczy tylko jeden przykład: sprawa Korei. Czyż mimo tego, iż kraj ten jest odległy od naszego ponad 7 tys. km, jego sprawa nie wiąże się z naszą? Dziś już każdy łatwo uzmysławia sobie tę zależność, której negatywną stronę plastycznie wyrażają trzy punkty: Tokio — Waszyngton i Bonn.

Postęp społeczny w jednym kraju, czyli zgodnie z katolickim punktem widzenia realizacja sprawiedliwości społecznej jest uwarunkowana przebudową życia społecznego całej ludzkości to znaczy realizacją sprawiedliwości społecznej w stosunku do całego świata. Pełne zrozumienie tej prawdy niesie jak dotąd, tylko socjalizm.

CZY USTRÓJ TO WSZYSTKO?

Myliłby się ten, kto by po przeczytaniu tych rozważań doszedł do wniosku, że uważamy socjalistyczny ustrój społeczno - gospodarczy za jakieś panaceum dla wszystkich współczesnych problemów dręczących ludzkość. Po pierwsze i ten ustrój nie jest doskonały, jak w ogólności trudno pomyśleć, aby kiedykolwiek powstał w świecie ustrój w pełni doskonały. Po drugie — zawsze decydującym czynnikiem o funkcjonowaniu danego ustroju jest sam człowiek, a przede wszystkim jego postawa moralna. Jednakże twierdzimy, że w naszej epoce, przy obecnym rozwoju stosunków społecznych i gospodarczych, ten ustrój może być uznany za optymalny, to znaczy, że stwarza on możliwości zaspokojenia potrzeb współczesnego człowieka i zapewnienia możliwie najlepszego ładu w świecie. Jako katolicy widzimy w tym ustroju, jak to podkreśliłem, możliwość zrealizowania aktualnie optymalnych warunków rozwoju osobowości każdego człowieka. Równocześnie twierdzimy, że to nastąpi tylko wówczas, jeśli ludzie żyć będą według zasad katolicyzmu. Ten ustrój dopomoże im, lecz nigdy oczywiście nie zastąpi dwóch czynników: czynnika woli i Łaski.

Jest faktem, że ustrój socjalistyczny budują przede wszystkim ludzie wyznający odmienny od naszego światopogląd. W jakim stopniu katolicy staną się budowniczymi tego ustroju, będzie zależeć przede wszystkim od dwóch czynników. Po pierwsze, od zrozumienia przez katolików tej prawdy, że w ramach socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego istnieją pełne możliwości realizowania niezmiennych katolickich postulatów społecznych, po drugie, od docenienia przez ludzi wyznających inny światopogląd, wartości katolicyzmu dla realizacji zasadniczych celów społecznych socjalizmu. *Konstanty Łubieński*

z mostu" w tendencjach wyłącznie politycznych. W tej sytuacji praca nad jakimkolwiek programem działania kulturalnego była skazana na fiasko. Okres dwudziestolecia musiał poprzestać na indywidualnych osiągnięciach poszczególnych twórców, którym przypadła trudna rola reprezentowania biernej masy.

NA PROGU NOWYCH DECYZJI

Po wojnie sytuacja uległa zasadniczemu przewrotowi.

Zmiana układu sił społeczno-politycznych ukazała katolikom polskim błędy ich dawnych niedomyśleń. Ukazała konieczność zrewidowania zbyt rzadko rewidowanych sądów na temat realnego wzorca stosunków międzyludzkich. Z tej konieczności wyniknąć musiał pierwszy punkt powojennego programu kultury katolickiej: postulat silniejszego zaangażowania jej we współczesność, silniejszego związania z tymi nurtami, których przeoczenie jest przeoczeniem dużej szansy wpływu na tworzącą się koncepcję życia i człowieka.

Przede wszystkim jednak w nowej sytuacji, jaką stworzyło zwycięskie zakończenie wojny i realizowanie rewolucji polskiej przez marksistów, katolicyzm polski ujrzał naocznie ukrytą przedtem w podziemiu olbrzymią siłę odmiennej koncepcji filozoficznej, odmienną teleologicznie koncepcję działania kulturalnego. Ze zrozumienia specyficzności tej nowej sytuacji wyniknąć musiał drugi punkt programu kultury katolickiej: postulat uintensywnienia i zbogacenia jej elementów światopoglądowych, jej walorów apostolskich, których przeoczenie lub niedostateczne wykorzystanie stanowi poważny błąd natury nie tylko strategicznej.

Uwyraźnienie linii podziału światopoglądowego stało się czynnikiem mobilizującym katolicyzm polski. Nie potrzebując wykraczać poza obowiązującą wszystkich Polaków polską rację stanu mają katolicy zewnętrzne prawo i wewnętrzny obowiązek polemizować z przeciwstawną im filozoficznie koncepcją. Okres sielskiej drzemki minął bezpowrotnie, nadszedł okres trudnej i koniecznej pracy kulturotwórczej. Tylko emulacja wartości i wyniki tej emulacji świadczyć mogą o sensie podjętej pracy.

Wśród konkretnych zagadnień, jakie z podjęcia tej pracy wynikły, nawiedzić musiał katolików twórczy niepokój. Wiele problemów szczegółowych domagać się poczęło rozwiązania, wiele konkretnych postulatów błagało o realizację.

W nowym klimacie społeczno-politycznym i psychologicznym uwyraźniła się potrzeba podjęcia zespołowej pracy katolickiej nad zagadnieniami kulturalnymi. Pracę taką mógł podjąć i realizować tylko katolicki zespół ideowo-polityczny.

KULTURA IN ABSTRACTO

Niestety, nie wśród wszystkich katolików dojrzało zrozumienie koniecznych powiązań między działalnością kulturalną i działalnością polityczną. Działalności kulturalnej poświęciły się katolickie zespoły bardzo ideowe, ale fałszywie interpretujące związek polityki i kultury. To fałszywe rozumienie pewnych konieczności logicznych i historycznych zespoły owe doprowadziło w konsekwencji albo do zasłaniania się mirażem apolityczności, albo do wadliwej postawy politycznej. I pierwsza i druga ewentualność stanowi dla tych zespołów zasadniczą przeszkodę w realizowaniu jakiegokolwiek skutecznego społecznie programu kulturalnego o skali szerszej niż skala wpływów lokalnych.

Dzieje się to z wielką szkodą i dla owych zespołów i dla całej społeczności katolickiej. Zespoły te reprezentują bowiem czasami wysoką klasę pracy intelektualnej, mają na swoim koncie niejeden wyczyn dużej miary, niejedną zasługę w skali prawie ogólnonarodowej. Pracują one jednak w oderwaniu od tych zagadnień i tych praw, których ominięcie zubaża kulturę o rzecz bardzo ważną, bo o szansę jej oddziaływania na innych. Pozbawiona tej szansy praca kulturalna jest jakąś wysublimowaną formą kultu na własny, domowy użytek.

Rozumiejąc zmniejszanie się szans oddziaływania tego typu zespołu, trzeba było podjąć pracę kulturalną w zespole nie tylko ideowym, ale ideowo-politycznym, pracę, która w oparciu o zdobytą i strzeżoną z trudem pozycję zespołu pomaga w realizowaniu zadań, których tylko teoretyczną część (może nienajłatwiejszą, ale również nienajtrudniejszą) fragmentarycznie opracowali inni.

Taki zespół ideowo-polityczny musiał podjąć się zadania przerastającego przeciętne możliwości jednej grupy, zadania uwspółcześnienia kultury i sądów o kulturze, zadania mobilizacji nowych sił kulturotwórczych.

DZIAŁANIE KONKRETNE

Z sytuacji wynikła konieczność podjęcia tych zadań przez zespół „Dziś i Jutro". Zespół „Dziś i Jutro" zadania te przyjął zdając sobie sprawę z ich ogromnej wagi.

Oglądając się — dla nauki i nabrania sił — w przeszłość trzeba stwierdzić, że działalność jego nie rozwinęła się jeszcze na miarę zadań. Świadomość tej dysproporcji choć bolesna, nie przygniata jednak, lecz mobilizuje. Zadania są olbrzymie, możliwości mniejsze. Trzeba działać na miarę możliwości. Trzeba w każdorazowym obrachunku czynić bilans błędów, aby inni ich uniknęli, abyśmy ich sami nie powtarzali. Nie ma obiektywnych powodów do ukrywania tych błędów, bo są obiektywne dowody działania pozytywnego, dowody ograniczonych wymiarem możliwości osiągnięć. Przede wszystkim zaś jest w nas świadomość ogromnej złożoności zjawisk kulturalnych i świadomość ogromnych na tym odcinku zaległości katolicyzmu polskiego. To zobowiązuje.

Z uwzględnienia tych zobowiązań wynikła w konsekwencji konieczność realizowania konkretnych zadań kulturalnych.

Zadania te zespół „Dziś i Jutro" widział w spełnieniu takich postulatów jak: postulat ożywienia katolickiego ruchu umysłowego w Polsce powojennej, postulat zdynamizowania przemyśleń katolickiej koncepcji sztuki czy literatury w szczególności, postulat popierania najwybitniejszych osiągnięć jak najszerszych warstw katolickich polskich publicystów literatów i naukowców, postulat zaangażowania w dzieło rozbudowy kulturalnej, postulat uwspółcześnienia pisarstwa katolickiego, postulat inicjowania prac koncepcyjnych, które służyłyby katolicyzmowi w pogłębianiu rozumienia doktryny, postulat nawiązania kontaktu z najlepszymi tradycjami kulturalnymi katolicyzmu zachodnio-europejskiego. Wreszcie postulat przezwyciężenia rozkładowych tendencji kulturalnych, wynikłych z błędów myślowych spirytualizmu mieszczańskiego, a manifestujących się w maniackiej obronie haseł sprzed lat sześćdziesięciu.

Postulaty te realizował i realizuje zespół „Dziś i Jutro" różnymi sposobami. Polityka redakcyjna obydwu pism, pozycje i plan wydawniczy Pax-u, coroczna nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka, różnego typu dyskusje, — wszystkie te akcje podporządkowane były konkretnym zadaniom, o których słusznym wydawało się wspomnieć powyżej.

Nie wydaje się jednak słusznym opiewać poniżej roli ważności, wielkości „historycznej roli" tych osiągnięć. Łatwo bowiem z trybularza rodzinnego rozdmuchać gęsty dym kadzidlany. Niech nie zasłania on wyrazistości faktów. Lojalnym obserwatorom, lojalnym przyjaciołom, lojalnym sceptykom i wrogom zostawić należy tych faktów ocenę.

Jedną tylko uwagę dodać tu należy: w historii nie dobra wola, nie szczytne zamiary, nie ładne słowa, ale fakty się liczą.

BŁĘDY POŚPIECHU

Błędy też są faktami i nad tym dzisiaj zastanowić się warto przez chwilę.

Zespół „Dziś i Jutro" popełnił jeden błąd zasadniczy, z którego w praktyce działania redakcyjnego, organizacyjnego, popularyzatorskiego czy koncepcyjnego wynikło kilka błędów pochodnych.

Tym błędem zasadniczym było początkowe przyjęcie mechanicystycznej koncepcji rozwiązań kulturalnych. Początkowo błędnie przypuszczano, że wystarczy właściwa postawa polityczna, że wystarczy dobra wola, aby kultura jakoś się robiła. Zakładano słuszną hierarchię zjawisk, ustalono prawidłowy stosunek służebności wszelkich problemów życia przyrodzonego wobec problemu kultury, ale jednocześnie przyjmowano fałszywą zasadę określania kultury przez określenie jej stosunku wobec innych dziedzin ludzkiego działania. Za mało w początkowym okresie prac koncepcyjnych zastanawiano się nad specyfiką procesów kulturotwórczych, zbyt ogólnikowo określano elementy, które biorą w tych procesach udział. Zewnętrzne uwarunkowania genetyczne i kierunek teleologiczny procesu kulturotwórczego nie określa jego pełni. Zostaje do wyświetlenia mnóstwo uwarunkowań wewnętrznych, pozostaje niewyjaśniony problem udziału czynników, które chociaż są mniej uchwytne, a jednak w akcie kulturotwórczym odgrywają niepoślednią rolę.

Pominięcie tych kwestii jak i przesadny trochę lęk przed trudem teorio-poznawczego argumentowania za słusznością tez praktycznych wiodły w konsekwencji do przykrych czasami uproszczeń.

Opóźniło to wejście na właściwą drogę poszukiwania rozwiązań koncepcyjnych. Odbiło się to tym samym na wnikliwości rozumowań pochodnych, na polityce redakcyjnej pism, czasami na formie publicystyki, która — zrodzona z niepokoju — sprawiała na niektórych odbiorcach wrażenie totalistycznego wykładu kulturologicznej tabliczki mnożenia.

Błąd ten został przezwyciężony przez sam zespół. Po przezwyciężeniu tego błędu publikowano prace o poezji, malarstwie czy krytyce literackiej, ukazując w nich konkretne tezy, które mogły stać się przedmiotem konkretnej dyskusji. Do dyskusji takiej nie doszło, bo widocznie sformułowania zaniepokoiły swoją jednoznacznością. Szkoda, że nie pamiętano o jednym: jeśli ktoś stawia konkretne wnioski prowokując do konkretnej dyskusji, to czyni to przede wszystkim dlatego, że chce dyskusji i że nurtuje go niepokój o prawidłowość zajmowanej postawy.

Tyle jeśli chodzi o obrachunek ogólny.

ŚWIADOMOŚĆ MOBILIZUJĄCA

Jedno w zakończeniu trzeba wyraźnie powiedzieć. Działalność kulturalna „Dziś i Jutro" nie wolna od błędów i przeoczeń jest działalnością zmierzającą do ożywienia spraw kultury katolickiej, do zintensyfikowania jej pozytywnych przemian, do ujawniania wszystkich twórczych sprzeczności, których przezwyciężanie jest jednym z najważniejszych procesów kulturalnych.

Nie znamy dogmatów o kulturze. Widzimy zmienność form życia kulturalnego. Niezmienny powinien zostać tylko sens dokonujących się przemian: muszą one nas zbliżać do Boga. O tym chcemy pamiętać znajdując się pod obstrzałem z prawa i z lewa.

I będziemy pamiętać.

Zygmunt Lichniak

Antoni PODSIAD

List do Ojca

Pod wszędzie tym samym niebem
Pozdrawiam Cię, Ojcze ziemski.
Słów prostszych, dostojniejszych gdy mówię do Ciebie
Nie mam, a chcę po męsku.

Czas płynie, rzeka mija, który raz płakał już bez —
Po męsku czas, trzeba po męsku.
Wszak Ojcze, Ty także wstydzisz się łez?
Ile łez upłynęło w Narwi od dnia klęski — — —

...słońce patrzyło zezem —,
na drzewcach płachty krwi
krew w żyłach się sypała
jak w klepsydrze piach
„jeść — wrzeszczeliśmy — jeść"
i to właśnie była
uwertura obozu
koncentracyjnego.
Matka wyszła ze dzbanem
na łąkę po mleko
gdzie bąki brzęczały i kule.
I przyniosła w dzbanie
parę grubych łez
uronionych przez ranne kasule.
I wtedy zapłakałeś.
I to właśnie była
uwertura obozu
koncentracyjnego.

Przebywam teraz Ojcze, zaprawdę, wierzaj mi
W najnieszczęśliwszym, najszczęśliwszym z miast.
Piszesz: zachowaj wiarę. Lecz jak ją stracić mam
Gdy nad głową pożar miliona bliźniaczych gwiazd?

...na Placu Trzech Krzyży
pijana stara kobieta
z bukietami kwiatów,
na Placu Trzech Krzyży
zaprzężone do wozu
włochate wałachy.
Brutalny woźnico, niechlujny piwowarze
dlaczego bronicie sprzedawczyni kwiatów,
która ma serce i pańską fantazję
poczęstować konisko bukietami kwiatów...

Bądź spokojny Ojcze. Jadę przez Wisłę tramwajem.
Rozpadał się dziś od rana ulewny, słoneczny deszcz.
Murarzowi cegła czerwienią się w rękach pali
I mnie się pióro pali by napisać wiersz.

Parafrazy z Horacego

VITAS HINNULEO ME SIMILIS, CHLOE

Jak wiatru muśnięciem spłoszona sarenka,
co przepastnego lasu się lęka,
mknie poprzez wzgórza i bezdroża
szukając matki trwożnej,
— uciekasz przede mną, Chloe.

Bo czy to wietrzyk na krzaku ciernistym
trąci, poplącze kołysane listki,
czy też pod krzewem głogu jaszczurka
śliźnie się krwawo-żółta,
— już bije, drży serce, Chloe.

Ja przecież nie żaden lew saharyjski
ani drapieżny tygrys, co z bliska
tuż, krok w krok czyha: przestań wreszcie
wołać matki. — Jak niewieście
dostałej przystało, Chloe.



PERSICOS ODI, PUER, ADPARATUS

Chłopcze, przepychem perskim gardzę.
Wieńce wiązane lipy łykiem
nie imponują mi. Tym bardziej
spóźnione róże dzikie,
które cię wabią, a nim znajdziesz — giną.

Chłopcze, mirt prosty! — czegoż więcej
szukasz poczciwcze? Coś ci powiem:
z prostego mirtu skromne wieńce
do twarzy tobie — niewolnikowi
i mnie gdy piję w miłym cieniu wino.

Paweł JASIENICA

NOC NA



Św. Krzyż. Nagrobki w kaplicy Św. Krzyża.

...mehr Licht...
Goethe

Cela mierzy trzy i pół metra szerokości na pięć i pół długości, wliczając w to już wnękę okna tudzież drzwi*). Najpierw mieszkał tu jeden zapewne mnich, potem nieznana mi liczba więźniów, ostatnio zaś czterdziestu jeńców wojennych.

Ustawiliśmy w tym miejscu trzy polowe łóżka, stół sosnowy oraz takąż ławę — i wcale nie jest zbyt przestronnie.

Ściany celi świeżo bielone. We drzwiach zamczysta krata. Podobna krata w oknie, za którym widnieją spłaszczone szczyty czarnych jodeł, rosnących na północnym zboczu Łysogórskiego pasma.

Jechaliśmy tutaj z Warszawy krajem, po długotrwałej w tym roku słocie, nagle poweselałym od wrześniowego słońca. Najpierw Szydłowiec, ze swoim uroczym gotyckim kościółkiem, wysunął się nam na spotkanie, jak forpoczta terenów, ku którym dążymy. Nieruchomy upał leżał nad rynkiem i starym ratuszem. Otwarty gdzieś głośnik odezwał się urywanymi sygnałami czasu. Zaraz też klekot szkolnego dzwonka posiekał melodię mariackiego hejnału. Spod drzew, zarastających część rynku bliższą kościołowi, wysuwać się zaczęły grupki dziewcząt w czarnych fartuszkach, zmierzające ku wdzięcznym bastionom ratusza, który ostatnimi czasy zmienił nieco lokatorów i przeznaczenie. Już w nim bowiem nie rozpierają się brzuchaci rajcy, którym sławetny „magdeburg" nakazywał „zasiadać w sądach jako lew rozsrożony, a prawą nogę zakładać dumnie na lewą". W ratuszu mieści się obecnie po prostu liceum.

Jeep potoczył się dalej szosą gładką i wygodną, a myśmy szukali oczyma wyniosłości Łysogór, o których powiadał Żeromski, że piękno ich może być porównane tylko do piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionymi oczyma nagle odsłonią.

Za Wolą Jochową, — gdzie od magistrali, figurującej na mapie jako „szosa główna", trzeba skręcić na północny zachód — rozpierane maską samochodu powietrze wtłacza w nozdrza zapach siana, łąk i pobliskiej puszczy. Długa, długaśna wieś Bieliny Kapitulne tonie w jaskrawych barwach georginij i złocieni. Domy tutaj stawiane już jakby na podgórski ład. Dachy strome, większe niż we wsiach na równinie. A te masywne bramy z belek, to pewnie odległe wspomnienie o „świętokrzyskich zbójach", o Zakucie-Zarzyckim, Szydle i Bębnowskim tudzież o niejakiej Barbarze Rusinowskiej, co za dawnych lat „drapieżyła w ziemi sandomierskiej".



Św. Krzyż. Fronton kościoła.

Istnieją więc wszystkie dane, potrzebne dla pisania tradycyjnych „słonecznych" reportaży, podlanych sentymentem historycznych wspominków. Świeci przecież słońce, widoki wokół piękne, puszcza jodłowa coraz bliżej, kraj stary — prastary. Wsie przydrożne zwą się: Huta Nowa, Huta Stara, Huta Szklana. Droga staje się odludna, moszczący ją kamień pociemniały, poprzerastany trawą. Nikt chyba prawie tędy nie jeździ...

Jakoś mi się jednak na słoneczny reportaż wcale nie zanosi. To chyba przeżycia ostatninch lat dziesięciu nauczyły realizmu, oduczyły natomiast kontentowania się samą tylko barwą złocieni, pięknie odbijającą od tła pociemniałej chaty.

Szosa gładka i wygodna skończyła się w Kielcach. Od tego grodu, znanego najdawniejszym u nas kronikarzom, wiedzie w kierunku na Opatów coś, co nie posiada właściwej nazwy w żadnej mowie europejskiej. Byłe kieleckie magistraty konserwowały tę „szosę" w takim stanie po to niewątpliwie, byś się — pyszny człowiecze — w rozkoszach doczesności zbytnio nie pławił, miał natomiast okazję do umartwień grzesznego cielska. Jakoż umartwia się ono na wybojach, które nawet „jeep" z trudem bierze, cierpi przykładnie w tumanach białego, wapiennego kurzu.

I takie oto... arterie komunikacyjne na mapach naszej ojczyzny figurują dotyczchczas w charakterze „szos głównych".

Rumak zaprzężony do napotkanego wozu na widok auta staje dęba, szarpie się, łamie rozworę. Stopujemy i mamy możność zauważyć, że znarowione zwierzę nie dorosło jeszcze do nazwy konia. Jest to właściwie spore źrebię, przedterminowo zmuszone do pracy pociągowej.

A ot, na kamienistym zboczu bronuje bosy chłop. Równie zaś bosa jego żona, odziana w kieckę krótką i postrzępioną, wiedzie przy pyskach krowi zaprząg. Pole — jako się rzekło — leży na pochyłości. Gleba, jak zresztą wszędzie tutaj, do uprawy trudna, usiana i natkana kamieniem.

— Ile to mleka te krowy dadzą, ciekawe — mruczy od kierownicy Baśkiewicz**).

Oto on, nasz patriarchalny kmieć, gospodarz, gazda, wierny stróż tradycji familijnej orki krowami, kiedy inni dawno już temu przeszli na traktory. A domek jego — ten właśnie za kolorowymi krzakami jesiennych kwiatów — jest zgodnie ze słowami poety „niewielki" ale zato bynajmniej nie „zewsząd chędogi" i demonstruje przechodniom swojską, odwieczną, zwyczajną, żałosną nędzę.

O czymże więc pisać ów słoneczny reportaż? Może o tej naprawdę pięknej drodze, która gąszczem ciemnej puszczy jodłowej, tu i ówdzie rozjaśnionej smugami żółkniejącej buczyny pnie się pod górę, ku Świętemu Krzyżowi? Mogło by się to zdarzyć, gdybym w tym miejscu straszliwym i dawniej nie bywał.

Ostatni raz zajrzałem w te strony przed laty jedenastu, w sierpniu 1939 roku, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Jechaliśmy wtedy od tychże Bielin Kapitulnych motocyklem. Na zakręcie tej samej ślicznej drogi zaskoczył nas widok jakby żywcem wyjęty z amerykańskiego filmu. Kilkudziesięciu nagich do pasa mężczyzn, zatrudnionych przy reperacji nawierzchni. Jednakie na nich aresztanckie mycki, jednakie kajdany nożne, których długie łańcuchy podczepione były do pasów. Wokół zielone mundury straży. Psy. Trzeba było zwolnić całkiem bieg motoru i zboczyć na ścieżkę. Wejrzenia kajdaniarzy spoczęły na nas ciężko, nienawistnie. Monotonne pobrzękiwanie łańcuchów.

Istotnie, straszliwe to jest miejsce. W tych murach starego klasztoru, leżącego na łysym szczycie góry, mieściło się dawniej najcięższe w Polsce więzienie. Tutaj znajdowały swój finał wszelkie kryminały, jakie tylko zrodzić się mogły w bandyckich melinach wielkomiejskich i w grubej ciemnocie zapadłych wiosek.



Szczyt Łysej Góry.

Zbój, złodziej recydywista, gwałciciel odbywał w tym miejscu lata swojej katorgi i wracał później — o ile wyrok nie orzekł dożywocia — w te same warunki i okoliczności, które i uprzednio towarzyszyły jego ponurej karierze. Cóż bowiem mogło go poprawić i zmienić? Chyba nie ów do dziś dnia zachowany napis na bramie wyjściowej: „Idź z Bogiem i nie wracaj"?

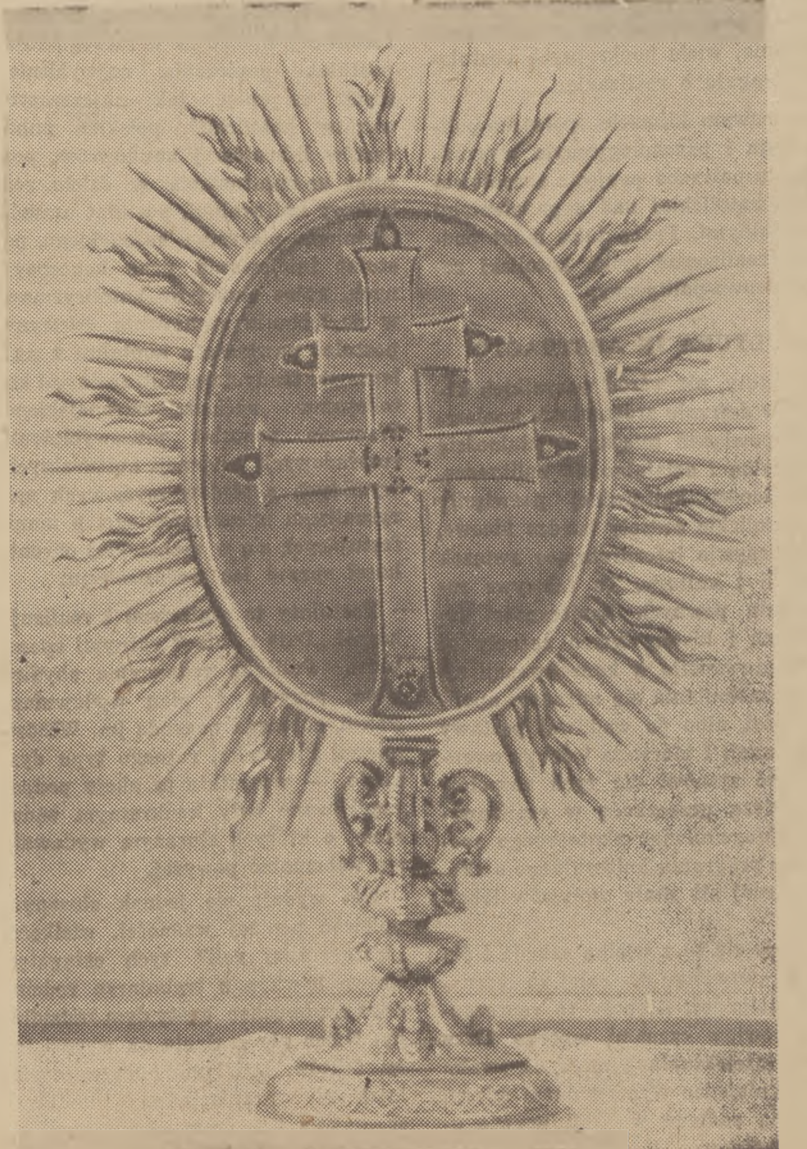
Wtedy, przed laty jedenastu, nie wiedzieliśmy ani my, ani więźniowie przy drodze, że ten siedemdziesiąty ósmy rok istnienia świętokrzyskiej turmy jest dla niej rokiem ostatnim. Miała bowiem potrwać jeszcze coś koło trzech tygodni.

Nie ma już więzienia na Świętym Krzyżu. W jego gmaszysku — benedyktyńskim ongi klasztorze — rozmieściło się schronisko Towarzystwa Krajoznawczego. Frontową partię budynku zajęli zakonnicy, oblaci. Na dawnym podwórku wewnętrzym kryminału stoi jeszcze pomnik ku czci strażników, poległych czasu buntu więźniów, w roku 1925. Sterczy tu też resztka innego monumentu, wzniesionego, jak głosi napis, dla wysławienia twórców konstytucji kwietniowej 1935 roku. Jakże jednak rzadkim zjawiskiem między ludźmi jest zwyczajne poczucie taktu! Bo ktoś złośliwy mógłby czasem powiedzieć: właściwy pomnik na właściwym miejseu.

Nie ma już więzienia. Jest za to dużo zwalisk, ruin i pół-ruin. Wokół obwodowego muru masy śmiecia i odpadków po wczorajszym odpuście, a nad nimi chmary, roje, niewidziane nigdy mnóstwo os.

Na białych ścianach klasztorno-więziennych korytarzy widnieją dwujęzyczne napisy. Ten, kto je kładł, był człowiekiem systematycznym i miłującym porządek. Najpierw poczynił ołówkiem linie, a dopiero potem malował wyraźnie: Ludojedstwo budiet nakazano razstriełom; Kanibalismus wird mit dem Tode bestraft. Ludożerstwo karane będzie śmiercią.

Napisy te świadczą jednak, o hańbie tych, co je wykonali. W obozie jeńców rosyjskich na Świętym Krzyżu nie było bowiem wypadków ludożerstwa.



Św. Krzyż. Relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego

*) Reportaż ten jest fragmentem większej całości.

**) W opisywanej tu wędrówce reportażowej oprócz autora uczestniczyli: Henryk Baśkiewicz, kierowca samochodu i Tadeusz Chrzanowski, poeta i fotoreporter.

fot. Tadeusz CHRZANOWSKI

ŁYSEJ GÓRZE

A może chodziło jeszcze o co innego? Może ostrzeżenie przed ludożerstwem, wymalowane na ścianie także i w ojczystym języku, miało być dla rosyjskiego żołnierza dodatkową, wyrafinowaną torturą moralną, próbą ostatecznego sponiewierania jego poczucia godności własnej? O tym wie chyba tylko tych paruset, co stąd żywo wyszli.

Ściemnia się. Kierownik schroniska przyniósł nam lampę naftową, drugą zaś umieścił na korytarzu. Poradził też, aby drzwi od podwórka na noc podeprzeć od wewnątrz deską.

W miarę zapadania zmroku wzmaga się wiatr. W dolinach nie czuło się go prawie wcale. Tu, na szczycie, za dnia trochę wiało. Teraz, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno zrywa się wicher taki, że chwilami trudno na nogach ustać. A niebo czyste i gwiazdy liczniejsze jakby niż zazwyczaj. Nie jest tu jednak zbyt miło po nocy, w tych korytarzach i celach, wśród dookolnego wycia i gwizdu. Zwłaszcza kiedy nagły przeciąg od jednego razu zgasił lampę i trzeba było długo wokół załamań muru wędrować omackiem. Wcale się owej chwili nie dziwiłem, iż miejsce to umiłował sobie gminny zabobon, bujnie w okolicy rozpleniony, wzbogacany wieścią o istnym cmentarzysku kości, spoczywających w tutejszych podziemiach — są wśród nich i zwłoki Jeremiego Wiśniowieckiego — zasilany wspomnieniem o katordze i obozie-trupiarni. Na uroczyskach i gołoborzach tych gór miały się przecie illo tempore odprawowywać sabaty czarownic, a głupia wiara w prawdziwość tych zdarzeń rozpalała później po całym kraju płomienie stosów. Niezbyt daleko stąd, u podnóża Łysej Góry, obok osady Nowa Słupia, stoi, a raczej klęczy do dzisiejszego dnia tajemnicza figura kamienna, przedstawiająca ni to pielgrzyma, ni pokutnika. Deszcze i słoty stuleci zatarły rysy prymitywnej rzeźby, uczyniły z niej bezkształtny bałwan. Vox miejscowego populi głosi, że postać ta rok rocznie posuwa się naprzód o ziarenko maku, a kiedy dopełznie do szczytu — nastąpi koniec świata. Powodów do zbytniej trwogi nie ma. Klęczący pielgrzym ma jeszcze przed sobą ze dwa kilometry drogi. A może nawet więcej.

Ostatnimi czasy ktoś oparkanił figurę, co daje efekt zgoła śmieszny. Czyżby w ten sposób chciano zagrodzić jej szlak i przedłużyć bytowanie naszej planety? Fundatorom sztachet chodziło chyba jednak o rzecz znacznie bardziej prozaiczną i doczesną. Po prostu o to, żeby przechodnie nie niszczyli starej rzeźby i nie ryli na niej swych cennych imion, ani też serc przebitych strzałą.



Łysa Góra — Gołoborze

Kiedy zwiedzałem te strony po raz pierwszy — to znaczy lat temu dwadzieścia i siedem (Chrzanowskiego wcale wtedy na świecie nie było, a Baśkiewicz pracowicie ssał smoczek) — płot jeszcze nie istniał, posąg stał sobie swobodnie na łące, a droga wiodąca ku szczytowi przebiegała jakoś inaczej. Wtedy to do nas, uczestników wycieczki klasy III gimnazjum (dawnego typu!) podszedł człowiek stary i zgarbiony. Ukłonił się pokornie i prosił o jałmużnę. Zaraz też wyciągnął z zanadrza urzędowy papier, stwierdzający, że okaziciel jego, pan taki to a taki, przed laty sześćdziesięciu służył w oddziale naczelnika Mariana Langiewicza i że wobec tego na wsparcie w całej pełni zasługuje.

Powstaniec z roku 1863, żebrzący chleba w niepodległej Polsce, i to dosłownie na polu własnych walk, tuż niedaleko zwalisk, od imienia jego dowódcy nazwanych „okopami Langiewicza" — to też curiosum nie gorsze niż figura władna rozstrzygnąć o końcu świata.

Ja nie wiem czy ktokolwiek zainteresował się później losem tamtego starca i zapewnił mu spokój na resztę jego dni. Czy dano mu należny weteranom Powstania granatowy mundur, stopień oficerski i krzyże. To był prosty, niepiśmienny chłop. W oddziale Langiewicza może konie czyścił.

Tak jakoś przypomniał mi się ten stary uczestnik polskiego wysiłku zbrojnego wystrzelonego w powietrze, kiedy nareszcie dobrałem się omackiem do celi i zacząłem słuchać gawęd współtowarzyszy, którym zebrało się — nie wiedzieć czemu — na wojenne wspominki. W tej samej bowiem „przez Boga i ludzi zapomnianej" stronie spotkałem niedawno temu zwykłego wieśniaka, mogącego się pochwalić wyjątkowo bujną przeszłością wojenną. Rozprawiał o krajach dalekich, egzotycznych i nieznanych. O swojej służbie w II Polskim Korpusie i wcześniejszym jeszcze pobycie w greckich oddziałach partyzanckich:

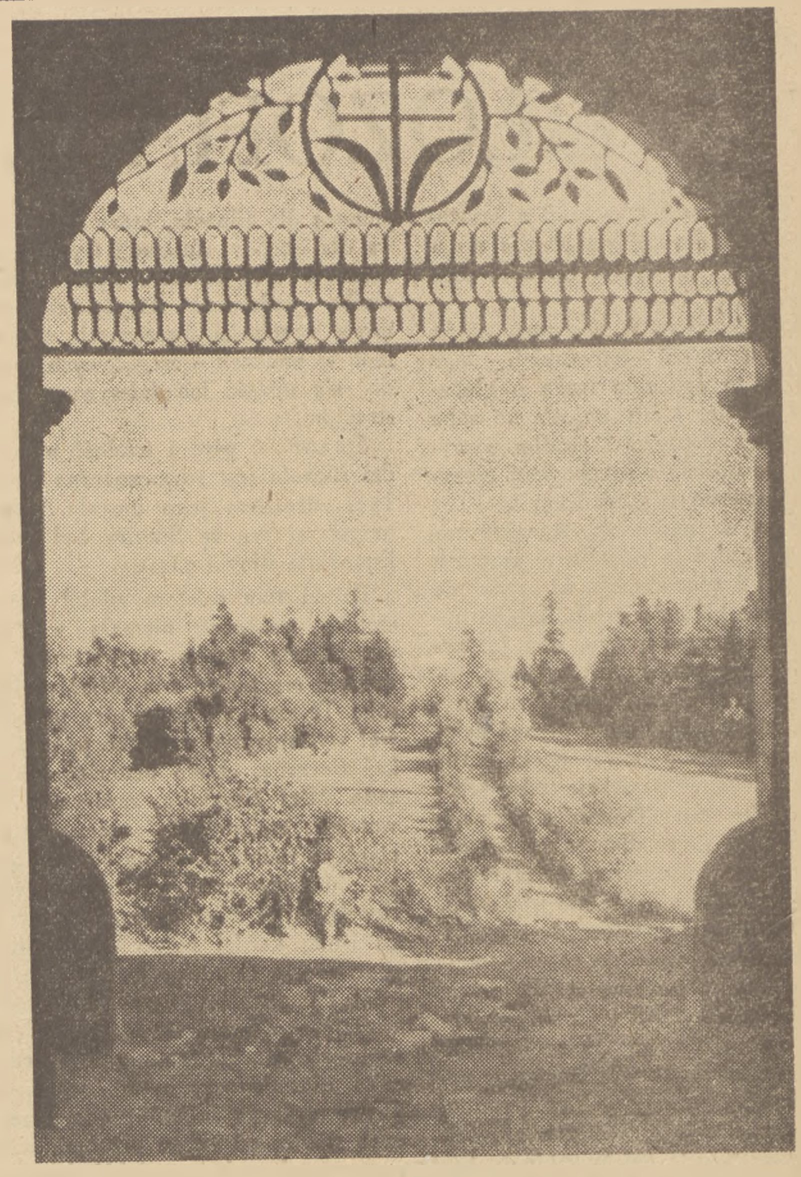
— A noże mieli, skurczybyki, takie! A brody — takie! Im większa broda tym większy partyzant. Raz cofaliśmy się od Janiny aż po Olimp górami po samych gołych skałach. A dowódcy szli przodem i zasypywali wszystkie źródła. Bo jak człowiek pije w takim marszu wodę, to jeszcze bardziej słabnie. To ci Grecy, tacy górale, puchli, brali się mułom za ogony — a myśmy Polacy, szli a szli.

By uwiarygodnić swoje słowa, dobył z portfelu zachowany na pamiątkę banknot grecki, pół miliona drachm — równowartość funta kukurydzanego chleba. Tyle mniej więcej otrzymywał odprawy, kiedy nie chcąc uczestniczyć w walkach Greków między sobą, zgłaszał się do placówki angielskiej, by dołączyć do pułków polskich na Bliskim Wschodzie.

Przykręcamy knot w lampie i ruszamy znowu na dwór rozejrzeć się po świecie. Siła wiatru wzmogła się bodaj jeszcze. Jodły wyją niczym organy wielkoludów, w ruinach jakaś na wpół oberwana rynna jęczy, zgrzyta, skrzypi — czyni muzykę godną zaiste generalnej sesji wszystkich wiedźm Sandomierszczyzny i województw przyległych. Miotają się w ciemności krzaki czarnego bzu, tajemniczej rośliny, która — podobno — pleni się uporczywie po siedliskach pradawnych kultów słowiańskich.

Stajemy przed frontem kościoła i klasztoru. Mury chronią tutaj od podmuchów. Wrośnięta w murawę nagrobna płyta. W ćmie widać tylko zarys rzeźbionej, trupiej czaszki i piszczeli. Ale spojrzawszy ku północnej stronie widać jeszcze rzecz inną. Rzecz zwyczajną, spowszedniałą i banalną, ale z perspektywy tego straszliwego miejsca jakże urzekającą i prawie czci ludzkiej godną.

Daleko, daleko — w stronie północno-zachodniej — linijki mocnych, jasnych i równych elektrycznych świateł. Nieco na prawo, w stronie północno-wschodniej, mgława już w oddaleniu smużka. To błyczczą lampy Staropolskiego Okręgu Przemysłowego — Starachowic, Wierzbnika, Ostrowca — dzieł zapoczątkowanych ongi troską Staszica i pracą „finansowego mózgu" Lubeckiego, a dziś rozszerzanych i rozbudowanych potężnie.



Łysa Góra. Widok z bramy klasztornej.

Tutaj bliżej, całkiem blisko w dole prawie u podnóża góry wyraźne i regularne, acz krótkie rzędy i szeregi świecących punktów. To kopalnia na dobre rozkręcona i uruchomiona dopiero teraz, po wojnie.

I jeszcze po całym obszarze, który mrok zasłonił, tu i ówdzie — rzadko, stanowczo zbyt rzadko — błyszczące piętna. To są nieliczne zelektryfikowane wiejskie domy.

Za dnia widać stąd było kraj, jakby olbrzymią wklęsłą czaszę, tysiącami i tysiącami chłopskich zagoników barwioną na wszystkie odcienie rdzy. Być może niedaleka już jest noc, kiedy skutkiem wielkich prac w Polsce teraz rozpoczętych cała ta czasza ziemi napłynie światłem do pełna.

Mocnym, jasnym i równym światłem elektrycznym.

Pomiędzy wsią Nowa Słupia a zagadkową figurą pielgrzyma przebiega przewód wysokiego napięcia.

Paweł Jasienica

Książki katolickie
wysyła za zaliczeniem
bez kosztów przesyłki
Księgarnia „Veritas" Warszawa Widok 5
a ponadto
Parafiom udziela rabatu
10% przy zakupie ponad 60 zł.

Satyrycy w walce o pokój

Akcja walki o pokój mobilizująca milionowe rzesze ludzi pracy posiada dwa wyraźnie zarysowane aspekty — twórczy i propagandowy.

Aspekt twórczy, zasadniczy — to praca, produkcyjna praca murarza i prządki, hutnika i rolnika...

Aspekt propagandowy — rozwijanie haseł pokojowych — to praca, którą wykonują plastycy, dziennikarze, literaci...

Niepoślednią rolę w pokojowej akcji propagandowej odgrywają satyrycy. Broń, którą walczą oni o pokój, tzn. metoda ośmieszania, jest na ogół skuteczna i rozkłada na obie łopatki niejednego „podżegacza wojennego".

Ostatni zbiorek „Biblioteki Szpilek" *) zawiera około pięćdziesięciu krótkich utworów popularnych naszych poetów i satyryków z W. Broniewskim, K. I. Gałczyńskim, J. Minkiewiczem i A. M. Swinarskim na czele. Mamy tu także felietony Szeląga, humoreski Brudzińskiego i Wiecha, dalej wiersze Szpalskiego, Woroszylskiego, Słonimskiego i wielu innych.

Jak z tego wykazu nazwisk widać — nawet spece od poezji „na serio" stanęli w zgodnym ordynku z zawodowymi humorystami, aby jednomyślnie opowiedzieć się w sposób dowcipny acz zdecydowany przeciw knowaniom imperialistów i potentatów z Wall-Street.

O ile chodzi o wartość ideową, to oczywiście wszystkie zamieszczone w zbiorku utwory służąc jednej sprawie, posiadają poziom mniej więcej wyrównany, jako że każdy z zabierających głos autorów ożywiony jest tą samą myślą przewodnią, co i reszta.

Jednakże wspólny cel nie wyklucza zróżnicowania wartości artystycznej poszczególnych utworów.

Do utworów najbardziej udanych, jeśli chodzi o wzorową satyrę polityczną, należy niewątpliwie humoreska Zbigniewa Grotowskiego pt. „Apel nowojorski". Opowiada ona o pewnym fikcyjnym „Kongresie niepokoju", którego opis i przebieg jest jak gdyby negatywem prawdziwych Kongresów Pokoju. Kapitalna jest metoda odwrócenia sytuacji, jaką zastosował Grotowski, przedstawiając skład poszczególnych „delegacji" („Delegacja z Bonn" weszła ze śpiewem „Deutschland, Deutschland, über alles"); „przemowy" („Niech żyje śmierć—precz z życiem bez wojny!") — a wreszcie sam „apel nowojorski" („Przyjaciele, uchwalamy, że za zbrodniarza przeciwko ludzkości będzie uważany ten, kto pierwszy użyje energii atomowej dla celów pokojowych").

Na uwagę zasługują również napisany w stylu Majakowskiego „schodkowy" wiersz W. Broniewskiego.

Interesującą koncepcję posiada humoreska Kazimierza Rudzkiego pt. „Zbrodnia i pokój".

Doskonale są Słonimskiego „Londyńskie Polaków rozmowy", odmalowujące w sposób wyrazisty nastroje panujące wśród emigracji polskiej.

Trudno omawiać tu wszystkie pozycje zbiorku satyr. Są wśród nich, jak zaznaczyliśmy, rzeczy bardzo dobre, średnie, a są — niestety — stojące trochę niżej poziomu... estetycznego. Do tych nielicznych trzeba by włączyć felieton Szeląga, który pod adresem podżegaczy wojennych rzuca „jędrne, ludowe" wyzwanie „Nie strasz, nie strasz...". Wiemy, jak się kończy to piękne powiedzonko, nie wątpimy, że poniektórym ze zdenerwowanych podżegaczy może się właśnie takie nieszczęście przytrafić, ale sądzimy jednocześnie, że tego rodzaju fizjologiczne dowcipy nie są zbyt efektowne.

G. K.

*) Satyra polska w walce o pokój — „Biblioteka Szpilek". Wstępem opatrzył J. Szeląg. „Czytelnik" W-wa, 1950.

Tadeusz KORDYASZ

FILOZOFIA ZDROWEGO ROZSĄDKU

Św. Tomasz tyle wziął z Arystotelesa, że tomizm jest prawie synonimem arystotelizmu. Co było tego powodem?

Arystoteles — to szczytowy punkt rozwoju myśli helleńskiej. Jego dzieło, to ogromna rzeka o głębokim nurcie, która uniosła ze sobą wszystkie dopływy i źródła wytryskujące obficie z przebogatej ojczyzny klasycznych sztuk i nauk.

Wraz z upadkiem starożytnego świata rzeka ta utonęła w piaskach historii i zdawało się, że nigdy nie wypłynie już na wierzch. Trzeba było gigantycznej pracy, aby ją wygrzebać spod namułu wieków, oczyścić, ocembrować trwałym korytem, którym by mogła płynąć dalej i zraszać glebę nowej epoki. Tej pracy dokonał właściwie jeden tylko człowiek: Św. Tomasz z Akwinu. Udało mu się to dlatego, że był obdarzony geniuszem równym mędrcowi ze Stagiry, o ile nie większym.

Szkoły perypatetyczne starożytności nie zostawiły po sobie pomnikowych wydawnictw, a uczniowie ich nie posługiwali się podręcznikami. Wprawdzie Arystoteles, na wzór Platona, napisał wiele książek w popularnej formie dialogów przeznaczonych dla szerszej publiczności, ale wszystkie te dzieła zaginęły bez śladu i znane są tylko z pochlebnych wzmianek Cycerona. Zachowały się we fragmentach jego pisma „akroamatyczne“, czyli streszczenia ustnych nauk, przekazywanych uprzednio wtajemniczonym uczniom. Są to właściwie myślowe stenogramy, o formie tak zwięzłej, że prawie nieczytelnej (mówię wciąż o pismach filozoficznych), niestrawnej dla kogoś nieobeznanego choć trochę z systemem mistrza. Te zapiski dostały się do rąk Św. Tomasza po długich perypetiach w skażonym wydaniu filozofów arabskich X, XI i XII-go wieku. Nawet krzepki umysł Alberta Wielkiego nie potrafił ich całkowicie rozgryźć i oczyścić z błędnej interpretacji.

Tylko ten, kto miał w ręku oryginalny tekst Arystotelesa, wraz z odpowiednim wykładem Tomasza zdołał ocenić, jakim geniuszem obdarzony być musiał komentator, aby zredukowany przez maksymalne skąpstwo słowa do hieroglificznego skrótu stenogram uczynić czytelnym przez jasny i zupełnie zrozumiały wykład.

Mędrzec ze Stagiry jest fenomenem nie tylko na tle swojej epoki. W historii nauki trudno znaleźć człowieka odznaczającego się podobnie potężnym umysłem. Jest uniwersalistą w najszerszym tego słowa znaczeniu. Zorganizował całą wiedzę starożytności. Założył podwaliny biologii, anatomii, matematyki, fizyki, zoologii, psychologii, kosmologii, logiki, etyki, polityki, metafizyki.

Wprawdzie jego prace, poświęcone naukom przyrodniczym, roją się od naiwnych błędów, wynikających z braku odpowiednich narzędzi i doświadczenia późniejszych wieków i dlatego przez współczesną wiedzę złożone są słusznie do lamusa historii, — jego dzieło ściśle filozoficzne ma fundamentalne znaczenie dla rozwoju myśli ludzkiej.

Filozofia bowiem jest wiedzą wewnętrznie niezależną od poziomu nauk poszczególnych. Jej narzędziem jest czysty rozum ludzki, działający wedle odwiecznych praw, badający pierwsze przyczyny rzeczy w naturalnym świetle umysłu. Operuje ona nie tezami specjalnych nauk, często zmieniających się i związanych ze stanem tych nauk w danej epoce, ale pewnikami, wynikającymi z bezpośredniej i jednakowej dla wszystkich epok widoczności przedmiotu. Osiągnięcia nauk poszczególnych są tylko zewnętrzną pomocą dla filozofa, który ich używa dla obrony, ilustracji i potwierdzenia swoich założeń. Tym więcej trzeba podziwiać Arystotelesa, że mimo kruchości ówczesnych osiągnięć w naukach szczegółowych, nie dał się uwieść ich fałszywym ilustracjom.

Sprawność więc i ścisłość narzędzi filozofa jest równoznaczna z siłą i zdrowiem jego umysłu. Otóż umysł mędrca ze Stagiry był maksymalnie silny i zdrowy.

Dzięki tym zaletom zdołał Arystoteles wchłonąć niemałą wiedzę filozoficzną czasów starożytnych i wznieść się ponad nią. Miał przed sobą Talesa z Miletu, który próbował wytłumaczyć wszystko przez jakąś fizyczną, czysto materialną zasadę. Miał Heraklita, zasugestionowanego zmiennością rzeczy, ideą ciągłego ruchu, stawania się (którego nowoczesnym wydaniem jest Hegel). Miał Pitagorasa, dla którego istotą każdej rzeczy jest liczba (por. teorie Comte'a, Jakubisiaka). Miał Parmenidesa, heroicznie przekreślającego świadectwo zmysłów i zaabsorbowanego fatalnie idea jedności, niezmiennego bytu. Znał żonglerki myślowe sofistów, odrywających wiedzę od swego przedmiotu i przetwarzających ją w jakiś chorobliwy sport dla snobów (por. dzisiejszych sceptyków). Ćwiczył się w dyscyplinie trzeźwej, sokratesowej mądrości. Przez dwadzieścia lat słuchał pilnie nauki Platona, która jest wielką syntezą doktrynalną całej myśli greckiej, syntezą przedwczesną, skażoną błędnymi ujęciami rzeczywistości, ale zawierającą bezcenne ziarna prawdy.

Mówiąc językiem dzisiejszym (filozofia powtarza się), Arystoteles zapoznał się z materializmem, idealizmem, monizmem, panteizmem, empiryzmem, ontologizmem, sceptycyzmem, fideizmem, ateizmem, nominalizmem i przesadnym realizmem.

Nadzwyczaj wrażliwy na zjawiska materialne jak i duchowe, obdarzony umysłem zarazem ściśle pozytywnym i zdolnym do koncepcji metafizycznych — Arystoteles, zanim zmarł na wygnaniu — oskarżony o bezbożność, stworzył nowy system filozoficzny, który można określić jako umiarkowany realizm o uniwersalnym zasięgu.

Rozumiejąc wagę, jaką w dociekaniu prawdy — ma sam akt poznania, — wypracował przede wszystkim obiektywną teorię poznania, która polega wedle niego na przyswajaniu rzeczywistości, istniejącej poza świadomością i niezależnej od świadomości. Ustalił dialektyczne prawa rządzące myślą ludzką w swoim studium o poprawnym myśleniu — w Logice. (Organon, Kategorie, Analityki). To studium jest tak wyczerpujące, że do dziś nie sposób cokolwiek do niego dodać. Nowoczesna logistyka jest tylko tej Logiki matematycznym wyrazem (Jan Łukasiewicz). Wychodząc z empirycznego założenia, że „nic nie ma w umyśle, czego nie było w zmysłach“, szczęśliwie ominął Scyllę i Charybdę subiektywizmu i idealizmu (Kant, Fichte, Schelling), przezwyciężył fikcję wrodzonych, lub osobowo istniejących poza nami idei Platona i przez wnikliwą analizę pojęć ogólnych (powszechników), określił realne funkcje umysłu w zakresie poznania. Dotarł też do niematerialnego ośrodka umysłowych działań — duszy ludzkiej. Stąd zrodził się psychologiczny traktat o istotnej treści niematerialnego tworzywa człowieka: De Anima (O Duszy).

Kluczowa teza tej psychologii o jedności substancji duszy i ciała (nieuznawana przez Platona i neoplatoników, którzy wstydzą się, że mają ciało), toruje drogę dla badań nowożytnej psychologii doświadczalnej. Według Arystotelesa człowiek nie składa się z duszy i ciała, ale jest w swej istocie ciałoduszą. Dusza, kształtująca egzystencję ciała, nadając mu piętno treściowe, zależy w rozwoju i działaniu od swego materialnego tworzywa. Temperament, zdolności wrodzone, nawet moralne skłonności mają źródło w podłożu cielesnym. Ten „materializm“ jest tylko wyrazem arystotelesowskiego realizmu, całkowicie przejętego przez św. Tomasza.

Stawiając odważnie czoło pełnej rzeczywistości, ufając mocno możliwościom poznawczym tak zmysłów, jak i umysłu, Arystoteles sięga w swych rozważaniach poza świat fizyczny. Kształtuje szczytowy dział wiedzy filozoficznej badającej istotne właściwości wszelkich bytów, z Bytem Boskim włącznie — metafizykę“.

Jest to najtrudniejsza część filozofii. Z racji swego przedmiotu wymaga maksymalnego odsunięcia przeszkód, jakie stawia człowiekowi w myśleniu wyobraźnia. W tej wiedzy Arystoteles stworzył z musu kilka nowych terminów, niełatwych do pojęcia właśnie dzięki ich absolutnej prawie niewyobrażalności, a przede wszystkim dzięki ich niezłożoności. Są one tak proste, że nie można ich rozbić na prostsze, a przeto omówić. Są tak proste i tak stopione ze wszystkimi otaczającymi nas zjawiskami, że dla przyjrzenia się im brak szkieł, nie ulanych z tychże zjawisk. Trzeba przez długie ćwiczenie wniknąć w ich treść raczej intuicyjnie i nauczyć się nimi operować, aby docenić ich ogromną wartość. To jest powodem, że ludzie niezdolni do ścisłego myślenia, albo ci, którzy pobieżnie zetknęli się z tomizmem i nie poświęcili koniecznego wysiłku dla jego zgłębienia, — potępiają ten system za jego „abstrakcyjność“, a w owych terminach widzą tylko czcze dźwięki.

Te jednak pojęcia wyjaśniają najcięższe zagadnienia, nie rozwiązane przez nikogo tak przed, jak i po Arystotelesie.

Tak więc możność i czyn (potentia et actus) wyjaśniają zmienność i złożoność wszelkiej rzeczy skończonej, a bezwzględną niezłożoność i doskonałość typu Boskiego. Różnica między istotą i istnieniem w każdym bycie (zapoznana przez egzystencjonalistów) woła o konieczność aktu stwórczego, narzuca konieczność „Tego, Który jest“, Którego istotą jest samo, nieograniczone istnienie. Złożoność znów rzeczowa z tworzywa i treści (materia et forma), z substancji i przypadłości tłumaczy różnice i zmiany zachodzące w świecie. Tzw. „przyczyny“: treściowe, tworzywne sprawcze i celowe wyjaśniają dobrze stosunki między rzeczami i rozwiązują problemy ich działalności.

Czy geniusz Św. Tomasza polegał tylko na zrozumieniu i wykładzie filozofii arystotelesowskiej? Nie. Tomasza stać było na więcej. On tę filozofię jeszcze niezupełnie wypracowaną, raczej naszkicowaną, mocno i harmonijnie usystematyzował. Pogłębił jej zasady, wyciągnął nowe wnioski, rozszerzył horyzonty i niczego nie odcinając, wiele do niej dorzucił. Wzbogacił ją ogromnym skarbem tradycji łacińskiej i chrześcijańskiej. Wmontował w nią nawet słusznie zrehabilitowane niektóre ujęcia platońskie i augustiańskie. W pewnych punktach zasadniczych (np. w kwestii istoty i egzystencji) stworzył całkiem oryginalne konstrukcje. Na koniec, dzięki swoistemu, czysto teologicznemu geniuszowi, używając filozofii arystotelesowskiej jako instrumentu wiedzy świętej, która jest w nas „niby odbiciem wiedzy Boga“ (Summa. I. q. 1. a. 3. ad 2.), — wyniósł tę filozofię ponad nią samą.

Między Arystotelesem w wydaniu Arystotelesa, a Arystotelesem w wydaniu Tomasza jest taka różnica, jak między pięknym miastem oglądanym wieczorem w świetle pochodni a tymże miastem, ukazującym się w blasku porannego słońca.

Gdyby do bystrego chłopa w zapadłej wsi zjechał mędrzec z Królewca, Immanuel Kant (czego niestety nigdy nie robił), i zabronił mu myśleć o uprawie roli, zanim nie dowiedzie sobie, czy jest zdolny do myślenia, ów chłop popatrzyłby na niego, jak na niespełnego rozumu. Potem, niewiele myśląc, odrzekłby zepewne temu panu, że każe mu pływać w rzece przed skoczeniem do wody.

Gdyby zjawili się u niego — Bogumił Fichte pod rękę z biskupem Berkeleyem i Dawidem Hume i stanąwszy na drodze, którą właśnie jechał wozem do miasta, oświadczyli mu uroczyście, że jego wóz i koń dlatego tylko istnieją, że oni, wielcy filozofowie, o tym pomyśleli, — zdumiałby się ów prosty wieśniak jeszcze więcej i osądził, że filozofia, to jakaś ciężka choroba umysłowa. A gdyby mu zbyt długo zagradzali drogę, przejechałby w końcu całą trójcę batem po grzbietach, aby wyleczyć ich z tej choroby. Okazało by się przecież, że bat istnieje, chociaż ci panowie wcale o tym nie pomyśleli.

Podobnie nie wprawiłby go w zakłopotanie Pyrron z Elidy, czy inny jakiś nowożytny sceptyk twierdzeniem, że nie ma na świecie nic pewnego, że o wszystkim należy wątpić. Bez trudu by bowiem zawyrokował, że jeśli to jest prawdą, to należy również wątpić i w to, co taki gość plecie, a więc trzeba się tyle jego gadaniem przejmować, co klekotem bociana. My zaś orzekniemy, że ten trzeźwy i bystry wieśniak bliższy jest prawdziwej filozofii niż oni, uczeni panowie, ponieważ cechuje go zdrowy rozsądek.

Czym jest właściwie ten zdrowy rozsądek, zwany również „zmysłem wspólnym“ w innych językach świata (sensus communis, le sens commun, common sense) i jaki jest do niego stosunek tomizmu?

Cycero powiedział, że trudno znaleźć takie głupstwo na świecie, którego by nie podtrzymywał jakiś filozof. Jeśli filozofia tomistyczna jest wolna od głupstw, to przede wszystkim dzięki jej ścisłemu powiązaniu ze zdrowym rozsądkiem.

„Zdrowy rozsądek“ pod względem treściowym, to nie zbiór przekonań ogólnie wyznawanych przez ludzi pewnej epoki i pewnego środowiska kulturalnego, jak niektórzy mylnie mniemają (Salamucha). W ujęciu tomizmu zdrowy rozsądek — to naturalny i prymitywny sąd rozumu ludzkiego. Jest on nieomylny, choć niedoskonały w sposobie, jednakowy i wspólny wszystkim normalnym ludziom we wszystkich epokach historii, niezależnie od kultury i środowiska. Jego dziedziną są pewności, które samorzutnie w nas wytryskują w chwili używania rozumu i działania zmysłów. Składają się na nie dane widoczności zmysłowej i zasady pojmowalne, widoczne same w sobie, wynikłe z bezpośredniej intuicji bytu, z bezpośredniej oczywistości przedmiotu. Jest to jakby konieczna zgoda podmiotu poznającego na odbiór bytu, przyrodzony instynkt umysłu, dar natury zdrowej, wiecznej i niezmiennej (por. Norwidowego „wiecznego człowieka“).

Dzięki niemu nasz prosty wieśniak, trzymając bat w ręku, jest pewien, że go trzyma, wie, że ten bat jest batem, nie księżycem i że cały ten bat jest większy od jego połowy. A te oczywiste stwierdzenia wystarczą do wywodu najgłębszej metafizyki.

Ponieważ jednak dziedziną zdrowego rozsądku są pewności wynikające z bezpośredniego poznania zmysłów i najprostszych sądów umysłu (widzę wóz, który nie jest krową), można zapytać, co jest probierzem tych pewności. Czy poznawanie świata zewnętrznego jest z natury swej prawdziwe, czy wszystkie nasze władze poznawcze same przez się są nieomylne? Innymi słowy, czy nasze zmysły, na których doświadczeniu się opieramy, są dokładnie wymierzone przez rzeczy?

Zagadnieniem tym zajmuje się część metafizyki tomistycznej, zwana kryteriologią. Rozwiązuje je w następujący sposób. Dowieść prawdziwości naszego poznania nie podobna, gdyż do jakiegokolwiek dowodzenia musimy użyć już władzy poznawczej naszego umysłu, którego prawidłowość funkcjonalną właśnie stawiamy pod znakiem zapytania. Wpadamy więc w „nonses, w błędne koło, w które beznadziejnie zaplątał się wielki Kant.

Z drugiej strony nie podobna wątpić w zgodność władz poznawczych z obiektem poznawanym. Wątpienie takie daje w konsekwencji sceptycyzm generalny, który jako fakt jest niemożliwy, a jako doktryna — niedorzeczny. Wątpiący bowiem szczerze w tę zgodność musiałby wątpić również w swoje wątpienie, a więc straciłby prawo do wypowiadania jakiegokolwiek zdania. Według słów Arystotelesa, stałby się niemym pniem przydrożnym.

Pomijając już to, że nic nas nie uprawnia do takiego wątpienia (bezpośrednie spostrzeżenia umysłu i zmysłów bywają omylne tylko przypadkowo na skutek zewnętrznych przeszkód wypaczających ich naturalne działanie, którymi dla zmysłów są uszkodzenia organu, a dla umysłu uprzednie idee, pętające jego wolność) — trzeba z naciskiem podkreślić że skuteczność naszego poznania nie wymaga dowodu. Są rzeczy tak proste, że nie dadzą się rozbić na prostsze. Tak widoczne, że nie można ich bardziej uwidocznić. I nie jest to jakaś ułomność ludzkiego poznania, ale przeciwnie — jego tężyzna. Gdyby umysł musiał zawsze osiągać swój przedmiot za pomocą środka dowodowego, zginąłby w nieskończonym szeregu tych środków, nie zdobywając nigdy bezwzględnej prawdy. Ponieważ zaprzeczenie ich prowadzi do absurdu, a absurd jest niemożliwością, jedyną możliwością jest uznać je za pewniki. Na takich pewnikach wspierają się wszystkie ludzkie nauki, jako na swoich punktach wyjściowych (por. aksjomaty matematyki). Na pewniku nieomylności ludzkiego poznania, na oczywistej zgodności między przedmiotem a podmiotem poznającym, który natura wyposażyła we władze poznawcze po to, aby poznawał, a nie po to, aby nie poznawał (wyni-

ka to z harmonijnej jedności natury), — musi być zbudowana każda zdrowa filozofia. Jej zadaniem przecież jest afirmacja bytu, nie jego negacja. Twórczość, a nie rozkład.

Tutaj należy zasygnalizować fałszywość zdania, które brzmi: „zmysłom trzeba wierzyć“.

Środkiem i **światłem** poznawczym wiary jest przyjęty autorytet zewnętrzny, natomiast uznanie nieomylności naszych zmysłów jest koniecznym **warunkiem** wiedzy. Nasz umysł nie **wierzy** zmysłom, on **wie**, że są nieomylne same przez się, on jest ich **pewny**. I nie jest w stanie zbyć się tej pewności, nie popełniając samobójstwa. Światłem jego osądu jest sama **natura** zmysłów, jej wewnętrzna oczywistość, jej bezpośrednie doświadczanie.

Pomimo więc tak pozytywnego stosunku tomizmu do zdrowego rozsądku, nie jest też on dla niego **autorytetem**. Najmłodszy terminator szkoły tomistycznej wie, że tomizm nie opiera się na żadnym autorytycie, jeno na **widoczności**. Przeto wszystkie kierunki filozoficzne, węszące w zdrowym rozsądku autorytet (szkoła szkocka Tomasza Reida, Jonffroy, woluntaryści, sentymentaliści, intuicjonaliści, Rousseau, Jacobi, Bergson), jakoby instynkt pozarozumowy, na którym rozum ma się opierać, — były zawsze przez tomizm odrzucane.

System ten zakładając, że filozofia nie jest zbudowana na autorytecie zdrowego rozsądku, pojmowanym, jako umowa powszechna, lub jako wspólny **instynkt**, — jednocześnie uznaje, że filozofia wypływa z niego, jako z nieomylnego pojmowania prawd pierwiastkowych. Jest wyższa od zdrowego rozsądku tak, jak doskonały i naukowy stan poznania jest wyższy od stanu wulgarnego tego samego poznania. Zarazem uznaje, że filozofia może być czasem sądzona („per accidens“) przez zdrowy rozsądek.

Ponieważ jednym ze składników zdrowego rzosądku jest bezpośrednie zrozumienie pewników widocznych samych w sobie, a tomizm opiera się na ich oczywistości (np. nic nie może być i nie być jednocześnie pod tym samym względem), słusznie powiemy, że tomizm wypływa z tego ożywczego źródła. Dzieląc z nim dziedziny i światła wspólne jest naukowym usprawiedliwieniem, dalszym jego ciągiem tak, jak sztuka, muzyka jest rozwinięciem dźwięków natury.

Im muzyk większy, tym większe ma poczucie dźwięku. Im inteligencja człowieka mocniejsza, tym silniej w nim tkwią przekonania naturalne.

Dlatego jedną z wewnętrznych wartości tomizmu i istotnym usprawiedliwieniem tytułu do „filozofii wieczystej“ jest jego szczęśliwe małżeństwo ze zdrowym rozsądkiem, zmysłem wspólnym całej ludzkości.

Tadeusz Kordyasz

Zygmunt KUBIAK

Poeta średniowiecznej Anglii

Gdy myślimy o Anglii, nie tylko średniowiecznej i szekspirowskiej, ale również dickensowskiej, staje nam przed oczyma jeden z najcharakterystyczniejszych jej akcesoriów: oberże przydrożne. Przed nimi zatrzymywał się dyliżans wiozący małego Dawida Copperfielda. W ich murach Szekspir uczył się prawdy o świecie i ludziach. A jeśli cofniemy się głębiej, do XIV wieku, wtedy od razu otacza nas światło tego wiosennego dnia 1387 roku, gdy słynna londyńska oberża „Tabbard Inn” miała zaszczyt podejmować grupy pielgrzymów zmierzających do starodawnego miasta Canterbury. Anglia była wtedy jeszcze krajem katolickim. Canterbury błyszczało chwałą niedawno kanonizowanego męczennika, św. Tomasza Beckett'a, którego grób przyciągał pobożnych chrześcijan z całej Europy.

Rzecz zdumiewająca, jak często wielkie wydarzenia kulturalne wiążą się z niepozornymi okolicznościami. Gdyby gospodarz oberży, imć pan Harry Baille, nie wpadł na świetny pomysł zaproponowania towarzyszom, aby urozmaicali sobie drogę przez opowiadanie różnych przedziwnych historii o czasach dawnych i nowych — to kto wie — czy mielibyśmy „Opowieści Kantuaryjskie”, jedno z największych arcydzieł poezji średniowiecznej. Bo trzeba wiedzieć — „tu wisi cała sprawa”, jak powiada Szekspir — że wśród pielgrzymów znajdował się Geoffrey Chaucer „ojciec angielskiej poezji”. To wiosenne zdarzenie opisał on w wierszach, które nawet czytelnikom znającym słabo średniowieczną angielszczyznę — potrafią objawić swoją czarującą muzykę.

Taka jest literacka legenda powstania Chaucerowego poematu. Rzeczą uczonych jest rozważać, w jakiej mierze kompozycja „Opowieści Kantuaryjskich” ma swoje źródło w podanych wyżej okolicznościach, a w jakiej mierze jest refleksem „Dekameronu“ Boccacia. Nas interesuje tu przede wszystkim sam Chaucer i jego świat.

Właśnie równo 550 lat temu, w r. 1400 umarł „ojciec angielskiej poezji”, przebywający na starość w cieniu Opactwa Westminsterskiego. Jego życie było powieścią w wielkim stylu. Przez pryzmat takiego życia można obejrzeć całą epokę. Urodzony w 1328 jako syn handlarza win, dostał się w młodości na dwór króla Edwarda III. Tak rozpoczął swoją karierę, która kazała mu być — dyplomatą, żołnierzem i poetą. Jako żołnierz króla angielskiego dostał się do Francji, jako dyplomata — do Italii, dzięki czemu poznał literaturę tych krajów i spotkał zapewne Petrarkę i Boccacia. W Italii jeszcze nie ostygły ślady wygnańczych wędrówek i walk Dantego. Chaucer, największy obok genialnego Florentczyka poeta średniowiecznej Europy, będzie pod wieloma względami jego przeciwieństwem. Można powiedzieć, że obaj się uzupełniają: Dante wyraża przede wszystkim sakralność średniowiecza, jest wielką syntezą



Geoffrey Chaucer

metafizycznych misteriów i niebotycznych hymnów. Natomiast w Chaucerze znalazła swój punkt szczytowy wielobarwna epika rybałtów, w której rycerski romantyzm sąsiadował często z rubasznym żartem. Chaucer nie zna wielkich zmagań z tajemnicą bytu, które napełniają „Boską Komedię” gromami i błyskawicami. Mimo rozsianych tu i ówdzie refleksji nad przeznaczeniem i cierpieniem człowieka, — jest on przede wszystkim — wielkim humorystą, oczywiście w tym sensie, w jakim mówimy np. o humorze pewnych partii eposów Homera.

Jako dokument swojej epoki, dzieło Chaucera jest pod wieloma względami niezwykłe. Siedział poeta po uszy we współczesnym życiu, a jednocześnie zwracał się ku przeszłości, kreśląc ze szczególnym sentymentem typy ludzi „ostatnich“, — niby Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“. Żył w okresie załamywania się porządku średniowiecznego, w czasie gdy społeczny niepokój splatał się z tym tragicznie natężonym mistycyzmem, który zapłonął w architekturze, plastyce i poezji tzw. średniowiecznego baroku. I oto rzecz dziwna — twórczość Chaucera jest w nastroju swoim tak klasycznie zrównoważona, tak łagodna w swej niegłębokiej mądrości, jakby pochodziła z epoki największej równowagi kulturalnej. Jest to odbicie burzliwej epoki w łagodnym, uspokajającym zwierciadle. Czy będziemy chwalić zwycięstwo poety nad rzeczywistością zewnętrzną? Raczej powiemy, że nie widział on jej dość głęboko, że nie dana mu była wiedza eklezjasty: ta, która jest cierpieniem, ale jednocześnie — źródłem największej siły.

Chaucer, pisarz bardzo płodny, pozostał dla potomności przede wszystkim autorem „Opowieści Kantuaryjskich“. Aby zrozumieć, jaką kopalnią wiedzy o różnorakich przejawach życia średniowiecznego, jest ten niedokończony poemat, wystarczy przeczytać świetną rozprawę prof. Przemysława Mroczkowskiego pt. „ Ostatnie blaski świata rycerskiego“, która stanowi analizę socjologiczno-literacką *Knight' s Tale* — Opowieści Rycerza jednego z Pielgrzymów (por. miesięcznik „Życie i Myśl“, nr 5/6) i jest — jak dotąd — jedynym hołdem złożonym u nas temu poecie w 550-tą rocznicę jego śmierci. Wobec Chaucera, jak zresztą wobec całej mediewistyki (na marginesie pytanie: kiedy otrzymamy nowe wydania Boyowskich tłumaczeń „Pieśni o Rolandzie“ i „Wielkiego Testamentu“ Villon'a? kiedy „Lirykę Trubadurów“ — Porębowicza?) mamy ciągle duże zaniedbania. Chaucer jest w Polsce prawie nieznany. Mamy tylko (pomieszczone w trudno dostępnej antologii) — dokonane przez Kasprowicza — tłumaczenie fragmentów prologu „Opowieści Kantuaryjskich“.

Przekładanie Chaucera — trzeba o tym pamiętać — jest bardzo trudne, już nie tylko ze względu na starą angielszczyznę. Ten niezrównany artysta nie rzucał swoich słów na daremno — i dlatego uronienie sensu jednego z nich może zniweczyć dużą sumę piękna. Prof. Mroczkowski przytacza w swej rozprawie wiersz Chaucera, mogący ilustrować tę wielką wagę poetyckiego słowa. Oto Rycerz opowiadający towarzyszom o dziejach starożytnych bahaterów (oczywiście, cała opowieść jest konsekwentnie anachroniczna), wprowadza w pewnym miejscu swej historii postać hinduskiego króla Emetreusza i tak go charakteryzuje: „Lat, **jako sądzę**, miał pięć i dwadzieścia“. — „Trzeba zatrzymać się — pisze słusznie prof. Mroczkowski — nad tym zaangażowaniem się rycerza w opis, najwyraźniej jak gdyby sam widział owego wymyślonego króla, występującego w „wydarzeniach“ sprzed szeregu wieków“. A wszystko osiągnięte — tym drobnym: „**jako sądzę**“.

Z takich zwycięstw artystycznych zbudowany jest czarujący świat poetycki Chaucera, którego na zawsze chcielibyśmy zachować jako dobrego towarzysza. Nie da on odpowiedzi na pytania Hamleta, nie zaprowadzi nas na drogę dantejskiego oświecenia, — ale powie wiele takich rzeczy, o których również warto wiedzieć. Do tych, którzy się gorszą rubasznością jego dowcipu, zwraca się z rozbrajająco naiwną radą, aby — przewrócili kartkę. Od niego począł się w literaturze angielskiej ten nurt specyficznej humorystyki, który — w ostatnich ogniwach — dał nam Chesterton'a i — Bruce Marshall'a. Chesterton nie powie nam tego, co Pascal i Newman, a Marshall tego co Bernanos i Greene. Ale od literatury nie żądamy by zawsze sięgała daleko w głąb — lecz tylko, by zdobytą przez siebie częścią prawdy nie zasłaniała pola dalszych poszukiwań — innymi słowy — by nie mieszała właściwej hierarchii bytu. Dlatego właśnie, zrównoważone piękno chaucerowskiej poezji jest drogocennym dziedzictwem kulturalnym, o którym musimy koniecznie pamiętać w prowadzonej obecnie pracy nad asymilacją dorobku chrześcijańskiego średniowiecza.

Zygmut Kubiak

Janusz ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK

Miniaturki

KLOCKI

Pomysł artykułu narodził się razem z pomysłami chwytów. Miałem już w głowie plan, zwroty, miałem dobitną pointę, wszystko to ścieśnione w jednym klocku myśli. Nie zapisałem ani słowa a pomyślałem o tytule. Przeliczyłem się, był to drugi klocek, na który myśl szybko przeskoczyła. Tamto uciekło niepowracalnie, klocek z tytułem już niepotrzebny został.

FOTOGRAFIA KTÓRĄ ZNALAZŁEM NA STRYCHU

Fotografia jest już żółto-brązowa, ale dosyć wyraźna. Widać na niej las młody i rzadki, puszyste liście wczesnych lat dwudziestych.

Dzieci siedzą na drzewie: chłopak na pewno urwis (widać to po minie) duży, mądry Zagraj (a może Jim) po środku, a po drugiej stronie chłopiec, który kocha zwierzęta bo przyłożył mocno policzek do głowy psa i trzyma go za łapę.

Za nim przytulona do kory smutno patrzy w aparat brzydka dziewczynka. Jest w niebogatym szkolnym ubraniu. Widać ciemny fartuszek, długą fałdzistą spódniczkę, ciemne pończochy i sznurowane buciki.

Za ich plecami łukiem wygięta brzózka.

Z boku wyjdzie zaraz panna Walentyna (jest ona wychowawczynią tych dzieci) i zaprowadzi je do domu, gdzie już szykują podwieczorek.

OKNO

Przypomniało się to Stefanowi w sposób bardzo banalny. Szedł wieczorem ulicą i w pewnej chwili spojrzał w okna pierwszego piętra domu po przeciwnej stronie jezdni. Jedno z nich było oświetlone. Stefan widział, że ktoś chodzi, otwiera walizkę, coś do niej wkłada, coś przenosi.

*

Jeszcze będąc w szkole Stefan przeczytał wszystkie tomiki jego poezji. Z drżeniem oczekiwał każdego numeru czasopisma, w którym on zamieszczał swoje wiersze. Sam nie był poetą, choć próbował pisać. To jednak, co napisał eksperymentując, zaraz niszczył. Wypadało mu źle, jak stwierdzał z samokrytycyzmem.

Jego wiersze odczuwał. Bardziej nawet, niż największych z największych. Marzył, że kiedyś go zobaczy, że może z nim porozmawia. Dowiedział się jego adresu i kiedy przyjechał do miasta, w którym on mieszkał, długo krążył przed bramą jego domu. Patrząc na oświetlone okno pierwszego piętra, gdzie mieszkał, a było to już wieczorem, widział, że ktoś otwiera walizkę, wkłada coś do niej — tak jak to widzi teraz. Stefan czekał do rana myśląc, że on gdzieś wyjeżdża, bezskutecznie. Lampa nie zgasła do świtu.

Kiedy wybuchła wojna Stefan poszedł do wojska. Był w pierwszej linii frontu, musiał przemierzać wielkie przestrzenie i zabijać wielu ludzi. Pewnego razu do jego dowództwa kogoś przyprowadzono. Na jednego z wykonawców wyroku wyznaczono Stefana. Nim spełnił rokaz poznał, że ten, któremu zabierał życie, był poetą, którego uwielbiał.

*

Przypomnienie to było z rzędu tych, które nie odchodzą prędko. Ale Stefan pomacawszy machinalnie kieszeń, gdzie nosił tomik wierszy ukochanego poety odwrócił głowę i poszedł dalej.

Janusz Odrowąż - Pieniążek

NAKŁ. SP. WYD. „PAX“ INSTYTUT WYDAWNICZY
Warszawa

PIERRE DEBRAY
POWRÓT KATOLIKA z Z. S. R. R.
Reportaż

STR. 84 CENA Zł. 4.20

PO WPŁACIE NA KONTO P K O I-8515
WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO ODBIORCOM

CZYTAJCIE
»SŁOWO POWSZECHNE«

Francesco PETRARCA

MADONNA

(Sonety ze

Jak Dante, starszy trzydziestu laty i jak młodszy od niego „cebularz z Certaldo". Petrarka był toskańczykiem. Urodził się 20 lipca 1304 w Arezzo; ojciec jego notariusz Petracco di Parenzo, za sympatię do Białych skazany na banicję z Florencji i matka, Elekta Canigiani, przenieśli się w rok po urodzeniu Franciszka do Incisy i od tych pór nigdzie nie zagrzali miejsca. Z Incisy bowiem przewędrowali wkrótce do Pizy i z Pizy naprzód do Awinionu, a później do Carpentras, gdzie chłopczyna poszedł natychmiast do szkoły uczonego Convenevole da Prato. Tam ssał gramatykę, retorykę i dialektykę. Podrostka wysłał ojciec razem z bratem Gerardem na studia prawa do Montpellier i stamtąd do Bolonii. Ale nic nie wiadomo, żeby wiele z tego skorzystał — wcześnie stosunkowo pociągnęła Petrarkę literatura, zwłaszcza klasycy. Powróciwszy po śmierci ojca do Awinionu, znalazł się nagle w środowisku pełnym wykwintu i zepsucia. W Awinionie też miał spotkać 6 kwietnia 1327, na mszy w kościele św. Klary, uroczą Laurę de Noves, od niedawna zamężną de Sade, przedmiot swoich wiecznych westchnień i natchnień, z których powstał sławny „Śpiewnik" (Il canzoniere). Następnie, zaprzyjaźniony z możną rodziną Colonnów i popierany przez Benedykta XII i Klemensa VI, dużo podróżował w rozmaitych misjach dyplomatycznych. Zjeździł kolejno Francję, Belgię i Niemcy, w przerwach między podróżami usuwając się w zacisze Vaucluse albo do pięknej Selvapiana koło Parmy: w obu ustroniach oddawał się na przemiany pracy naukowej i tworzeniu przemijających dzieł poetyckich w języku łacińskim i nieprzemijających w języku toskańskiego ludu.

Bodaj że w Selvapiana, czy raczej w Parmie miała Petrarkę dobiec bolesna nowina z Awinionu, że Laura nie żyje — zmarła prawdopodobnie na dżumę 6 kwietnia 1348. Pocieszył się jednak dość skwapliwie i kiedy w 1350, Paryżu i Rzymie, postanowiono go obdarzyć koroną „największego poety", w znakomitym zdrowiu i humorze wybrał się nad Tyber i pozwolił uwieńczyć się na Kapitolu. U schyłku wieku dojrzałego przytulił się przelotnie u mediolańskich Viscontich, ambasadorował im do Pragi i Paryża, poczem uległ powabom Wenecji i przemieszkiwał od 1361-go do 1367-go w pałacu na Wybrzeżu Jeńców, który otrzymał w podarunku od morskiej Rzeczypospolitej. Na starość upodobał sobie zieloną Arqua w sąsiedztwie Padwy, pogodny domek wśród wzgórz i gajów, przychylnych zawsze nauce i pisaniu.

Rankiem 19 lipca nie dobudzono się poety. Siedział nieruchomy w krześle, z głową opartą o książkę.

Twórca „idealnego naturalizmu" — mimowiedny spadkobierca Sofoklesa — nie żył!

BENEDETTO SIA'L GIORNO E'L MESE E L'ANNO

Bądź mi błogosławiony, dniu, miesiącu, roku,
błogosławiona poro, chwilo niepojęta
i ziemio i ustroni, czarem owionięta,
gdziem się oddał w niewolę jasnemu Jej oku.

Błogosławiony pierwszy, najsłodszy niepokój,
gdy przypadła do serca dziewicza ponęta,
gdy chybki łuk i błysła cięciwa napięta,
gdy Amor z różanego raził mnie obłoku!

Błogosławiona będzie pieśń, co się poczęła
dla mej Pani i wzlata echem Jej imienia,
błogosławię tęsknotę i łzę, która płynie.

Błogosławione pospół bądźcie moje dzieła
i chwałą Jej z pokoleń pójdźcie w pokolenia.
Wam błogosławię, myśli, żeście zawsze przy Niej

GRAZIE CH'A POCHI'L CIEL LARGO DESTINA

Wdzięki, którymi Stwórca szczodry dla wybranych,
cnota, w córkach człowieczych zgoła niebywała,
w pukli złocistych blasku mądrość doskonała
i piękność w mdłej dzieweczce, jak między niebiany;

powab zniewalający, a niespotykany,
głos, w którym słodycz serca zamyka się cała
i każdy ruch anielski, i duch, który pała,
gromi harde i dumnym każe bić kolany;

i żar ócz, który spalić na popiół mnie gotów,
oko, zdolne w otchłani i nocy promienieć
i nas, jak płanetniki, wodzić, gdzie mu miło;

Laury mowa pieszczona i pełna polotu,
którą co chwila ciche przerywa westchnienie:
to, owóż, czarnoksięstwo mnie przeistoczyło.

IN QUAL PARTE DEL CIEL, IN QUALE IDEA

Gdzie, w której nieba stronie, w której myśli bożej
był wzór dla przyrodzenia, a zeń ta uroda,
co się doskonałością na świadectwo poda,
że cudna tu, na ziemi, tam cudniejsza może?

Gdzie podobnej rusałki, nimfy szukać hożej,
której złote warkocze w leśnych skrzą pogodach
i gdzie takich przymiotów pełna dziewa młoda,
którą olśniłem serce, duszę moją trwożę?

Woła o wiekuiste piękno nadaremno,
kogo blask spojrzeń Laury nie sięgnął i mija
i ten, kogo ich słodycz nie upaja ze mną.

Kto nigdy Jej nie widział i komu nie sprzyja
uśmiechem, temu prawda zostaje tajemną,
jak Miłość razem daje żywot i zabija.

LIETI FIORI E FELICI E BEN NATE ERBE

Bujne trawy i kwiaty, błogo uśmiechnione,
które Pani w zadumie lżej, niż wietrzyk trąca,
łąki, które pragniecie słuchać Jej bez końca
i brzegi, co ślad stopy chowacie pieszczonej!

Drzeweczka umajone, listeczki zielone,
fiołki, w których bladości skryta miłość wrząca
i wy, cieniste lasy, którym trzeba słońca,
Laury, abyście dumniej nosiły koronę!

O, najmilsza ustroni, o, źródło najczystsze,
które omywasz jasne Jej oczy i lico
i z Jej odbicia zaraz stajesz się świetlistsze;

jakże do was nie przypaść zazdrosną źrenicą
i nie wbiec na te skały od tęsknoty bystrzej!
Ognie, którymi gore, zali was nie chwycą?

AURA CHE QUELLE CHIOME BIONDE E CRESPE

Wietrze, co do złocistych tulisz się warkoczy
i złoty pieścisz pukiel, on cię wzajem pieści,
kołysasz go, rozplatasz, by na nowo spleść i
ogarnąć, ni nałęczką, w węzeł spiąć uroczy.

Zawisłeś u powieki i musnąłeś oczy,
które tak mnie raniły, że płaczę z boleści
i, chwiejąc się, pół-ślepiec, ścigam cud niewieści
i czczy cień mi naprzeciw, nie kształt się zobłoczy.

To-m ku Niej przybiegł blisko, to jeno z daleka
patrzę tęskny ku Laurze. To stanę, to padnę.
To się jawi przede mną, a to snem ucieka.

Ani się w Jej kędziory tchem, wietrze, nie wkradnę,
ni Ją wstrzymam zwierciadły, jak ty, jasna rzeka!
Chyba nad waszą dolę lepszej nie ma żadnej.



O BELLA MAN CHE MI DISTRINGI'L CORE

Uwięziłaś mi serce, o, prześliczna dłoni,
moje życie w zamknienie pochwyciłaś małe.
Jeśli się w czymś dościga niebios sztuki całej,
o dłoni, najwdzięczniejszym jesteś dziełem po niej.

Pięciu perły wschodnimi łagodnie się płoni
ręka i ma nade mnie z rozwartych ran chwałę.
Paluszki lube! Chwile z szczęścia oniemiałe,
gdy się tej dłoni przepych patrzaniu odsłoni.

Niepokalana, miła rękawiczko. Przecie
ty, ty strzegłaś klejnotu, który smutkiem płacę,
dziwu z kości słoniowej i uśmiechu róży.

Skradłszy, nie chciałem ciebie oddać nigdy w świecie,
lecz oto-ś mi odjęta, lecz oto cię tracę.
Nie trwa zamiar człowieczy: na przekór los wróży.

IL CANTAR NOVO E'L PIANGER DEGLI AUGELLI

Ptaszął skargę nieśmiałą, poranne kwilenia
i słychać wśród doliny świergoty, szczebioty,
ciche szepty ruczaju, który chyże loty,
nie loty, lecz w dwóch brzegach zawiesił swe lśnienia.

Ta, co jedną zna miłość, nie zna kłamstwa cienia
i lice ma, jak śniegi, kędzior szczerozłoty,
promieniste układa kochankowi sploty
i wraz mnie ze snu budzą najpieściwiej pienia.

Zrywam się, biegnę przeciw Jutrzenki i wschodu
i wpierw pozdrawiam słońce, którym w niebie jaśniej,
później słońce na ziemi, które wielbię z młodu.

Niekiedy moim oczom oba wstają właśnie,
choć gwiazdy z wysokiego mżą jeszcze niewodu:
tamto zaćmiewa gwiazdy, przy mym słońcu gaśnie.

FRESCO, OMBROSO, FIORITO E VERDE COLLE

Wzgórze miłe, cieniste i zielne i kwietne,
gdzie widzę zadumaną albo rozśpiewaną
tę, co niesie tu spokój, podobną niebianom,
tę, co w świecie ma imię nad wszystkimi świetne.

Więzy chełznały serce. Dziś więzy rozetnę,
bo serce rwie się do Niej, błaga, by mu dano
ślady poślubić, które wśród bylin zostaną
mokre od łez i stópki muśnięciem szlachetne.

I wobec Laury dziwi się serce biednemu:
— Niechajby zaznał ze mną słodyczy istnienia,
szlochom jeno nawykły, smutkowi gorzkiemu.

Laura w śmiech. Możnaż dole ze sobą zamieniać?
Ty-ś, wzgórku, ni to raje, kiedy ja, któremu
serce odjęła, jestem, ni posąg z kamienia.

QUI, DOVE MEZZO SON, SENNUCCIO MIO

Tu, gdzieś mnie pół-sierotę zostawił Sennuczo,
(zali rozłąka dobrym przyjaciołom służy?)
tu idę, uciekając od wichru i burzy,
co czas pogodny w chmurę uprowadza kruczą.

Bo tu bezpieczno. Wichrów, że skroś przestwór kluczą,
ani się lękam gromu, że wichrowi wtórzy
i ani się namiętność w moim sercu nuży,
lubo dziś spokojniejsze ją kształty obłóczą.

Powiem, czym się to dzieje: ledwiem ziemię ową
ujrzał, ojczyznę Pani dziewiczej i błogiej,
która ucisza wichry, grom na wodzy trzyma,

zaraz w duszy, a Laura duszy mej królową,
wzniecon płomień i wszystkie pogaszone trwogi.
Och, gdyby jeszcze Laura błysła przed oczyma!

PO, BEN PUO'TU PORTARTENE LA SCORZA

Więc choć zdołałaś, rzeko, unieść moje ciało
na fali nieochełzłej, rwącej niewstrzymanie,
duch, który w nim upatrzył dla siebie mieszkanie,
zarówno o twą pomoc, jak inną dba mało.

Nie zabłądzi ni trochy, zna wszak drogę. Śmiało,
skroś przestworza, tęsknocie śpieszy na spotkanie,
leci, rozwarłszy skrzydła, ku jasnej polanie,
przemaga wiatr, nurt, wiosła i łódź, żaglem białą.

Królowo rzek wszelakich, dumna, pyszna toni,
co witasz słonko wtedy, kiedy dzień rozzłaca
i żegnasz o zachodzie, kiedy się zapłoni,

ty ziemski li kształt niesiesz i to twoja praca,
duch bo, jako ptaszyna miłosna, wciąż do Niej,
zawsze do Niej, do gniazdka najsłodszego wraca.

AVVENTUROSO PIÙ D'ALTRO TERRENO

Nie ma wśród krain wiela szczęśliwszej, niż owa,
gdziem ongi ujrzał Miłość z kwiaty zamknionymi
i blaskami zwróconą ku mnie anielskimi,
od których wokół cicho pogoda się snowa.

Cóż wiek i czas! Bo przezeń runąć diamentowa
może statua, posąg rozkruszyć olbrzymi,
a kraj miłości mojej wciąż przed okiem lśni mi,
tak go pamięć i serce przepełnione chowa!

Po tysiąckroć przenigdy tam nie pójdę, ino,
żebym zaraz ukląknął w uroczni ustronnej
i śladu ślicznych nóżek szukał w zachwyceniu.

Jeżeli serce Laury do współczucia skłonne,
błagaj Sennuczo, dla mnie o jedną, jedyną
łzę. Niech spłynie w jednym jedynym westchnieniu.

PER MEZZ'I BOSCHI INOSPITI E SELVAGGI

Wokół bór, wszędy puszcza niegościnna, dzika,
gdzie na cios wystawieni i ludzie i zbroje,
lecz ja-m oto bezpieczny, strzał się jeno boję
słońca miłości, które do żywa przenika.

Błąkam się, śpiewam (słodszy któż obłęd spotyka!)
i o Niej, z łaski nieba niedalekiej, roję,
Ona w mych myślach, obok panny i dziewoje
i jodły i grabina, co cieniem omyka.

Zda się, Jej słucham, ledwo wiaterek zaszumi,
ledwo gałązka, ledwo zaszeleści listek,
ledwo zadzwoni fala w zieleń pierzchająca.

Nigdy by się głusz leśnych nie podobał tu mi
półmrok i lęk, samotnia, w której tonę wszystek:
że odbiegłem od Laury, wyrzekam się słońca.

LAURA

„Śpiewnika")

tłum. Janusz KAWECKI

I DOLCI COLLI, OV'IO LASCIAI ME STESSO

Lube wzgórki, gdziem serce zostawił i duszę,
odbieżawszy ustroni nie do odbieżania,
widzę was nieustannie i brzemię kochania
spoczywać nie pozwala, drogie dźwigać muszę.

I dziwię się sam sobie, że niech tylko ruszę
w dalekość od mej Laury, jednako mnie słania
owo prześliczne jarzmo i tym bardziej wzbrania
jakiejś ulgi, im rychlej o swobodzie tuszę.

Tak sarn, którego strzała sięgnęła, z zatrutym
żeleźcem w trzewiach pierzcha w nieobeszłą knieję
i wraz każdy skok czyni ból więcej dlań lutym.

Równie i ja, ugodzon śmiertelnie, chorzeję
i niszczeję, a w męce podobam i póty-m
jej poddany, dopóki w ucieczce nie mdleję.

OR CHE'L CIEL E LA TERRA E L'VENTO TACE

Kiedy niebo i ziemia i wietrzyk zacicha
i sen każe i ptakom spocząć i zwierzynie
i noc w wozie z gwiazd złotych na wędrówkę płynie,
a morze się najlżejszą falą nie kołycha,

wówczas czuwam i dumam, gorejący wzdycham,
że Ona ze mną, nigdy więc boleść nie minie,
że mi ulgę przynosi Jej zwid w tej godzinie,
choć rozterka łzę rodzi, do gniewu popycha.

Jak z promiennego źródła wody wiecznie żywej,
tryska słodycz i gorycz i pospół mnie poją,
dłoń jedna chowa dla mnie truciznę i leki.

Aby kresu nie było męce pamiętliwej,
każdej mam chwili truchło i kolibkę moją.
ciągle-m od ozdrowienia daleki, daleki.

UNA CANDIDA CERVA SOPRA L'ERBA

Niewinna łania ponad zielonymi trawy,
przyśniwszy mi się, wznosi dwuroże złociste,
a w krąg niej dwa potoki, a górą cieniste
laury i brzask i wiosny uśmiechy łaskawej.

Próżno czekają trudy i powszednie sprawy.
Porzucam je, by ściągać widmo płomieniste
i oto-m przed nim, drżący, ni skąpiec, zaiste,
co znalazł skarb i dozna szczęścia i obawy.

„Nie waż się tknąć mnie", taką przestrogę się czyta
z naszyjnika, diamentem pismo i topazem,
„puść wolno. Niech z mym Panem nie cierpię rozstania."

I już słońce wpół drogi zawisło w błękitach,
i omdlał wzrok, znużony i złakniony razem.
Osunąłem się w nurty. Rozwiała się łania.

GLI OCCHI DI CH'IO PARLAI SI CALDAMENTE

Te oczy, które pieśń tak sławiła namiętna,
te ramiona, te dłonie, te stopy, to lico,
którym władzę nade mną oddałem zachwycon,
wśród ludzi przybierając odrębnego piętna;

i z najczystszego złota kosa ta okrętna
i ten uśmiech, właściwy jednym anielicom,
który mi ziemię czynił rajską okolicą,
nie masz ich, nie masz Laury! Garstka prochu smętna.

A ja żyję, choć dusza bolesna i chora.
Zaszło słońce, najmilszej nigdy nie obaczę.
Jestem, jako bez żagli i bez rudla korab.

Wysechł zdrój zwierciadlany, kres natchnieniom znaczę.
Nie stało ukochania, pieśni zmilknąć pora.
I nie zadźwięczy w cytrze struna, lecz zapłacze.

NE PER SERENO CIEL IR VAGHE STELLE

Ni gwiazdy, migocące w pogodnych niebiesiech,
ni promienne korabie na morzach spokojnych,
ni jeźdźcy w jasnej zbroi na gościńcach rojnych,
ni zwierz, który pomyka po wesołym lesie,

ni wieść pragniona, która z nagła w dom przyniesie.
ni powieść o kochaniach wielkich i dostojnych,
ni piosnki, ni dzieweczki w korowodach strojnych,
pośród łąk, ponad zdrojem, co w dal tęczą rwie się,

ani jakaś pociecha do serca przypadnie,
odkąd serce pogrzebło ostatnią nadzieję
z Nią, światłem oczu moich i moim odbiciem.

Każdy dzień, każda chwila kryje rozpacz na dnie,
więc śmierci wołam, śmierci pragnę i gorzeję!
By wrócić życiu, trzeba pożegnać się z życiem.

TORNAMI A MENTE ANZI V'E DENTRO, QUELLA

Wraca marzeniom — raczej, trwać w nich nie przestaje —
Ona, której mi Lete stąd porwać nie zdoła
i którą widzę w jasnej jutrzence u czoła
i dziewiczego wdzięku ozdobioną majem.

Gdy się zbliża, tak piękna i wzniosła się zdaje,
tak jedyna i czysta czystością anioła,
że — to naprawdę Laura! Żywie Laura! — wołam
i zaklinam: — O, luba, mów! Niech serce taje. —

Czasem poskąpi słówka, a czasem odpowie.
Ale ja, co szalałem, zaś przytomny ninie,
powtarzam sobie w myśli: Pamiątki cię zwodzą,

w tysiąc trzysta czterdziestym ósmym roku bowiem
i szóstego dnia kwietnia, o pierwszej godzinie
szczęsny duch Pani Laury z ciała oswobodzon.

AMOR, CHE MECO AL BUON TEMPO TI STAVI

Miłości, która ze mną w szczęsnej byłaś dali,
wśród uśmiechniętej myślom naszym okolicy,
u tych brzegów, u rzeki, u czystej krynicy,
gdzieśmy ongi wędrowce tyle pogwarzali;

kwiaty, drzewa, byliny, wiaterki na fali,
cienie grot, jary, wzgórza i smugu ławicy,
które, spokojną przystań ścielając tęsknicy,
nieraz ulgę niesiecie i od łzy, co pali;

o, nimfy, które w gajach nikniecie płochliwe;
o, brzeginie, w kryjówkach z pąkowia i ziela;
o, rusałki, bezpieczne w gospodzie świetlanej:

ja też słoneczniej żyłem, dni miałem szczęśliwe,
póki-m z Nią do truchełki nie zamknął wesela.
Kiedym się rodził, los mi w gwiazdach był pisany.

SE LAMENTAR AUGELLI, O VERDI FRONDE

kędy świetlany ruczaj, kędy fala tkliwa
na ciepłym tchnieniu zieleń lasanków pieściwa,
kędy świetlany ruczaj, kędy fala tkliwa,
między kwietnymi brzegi szemrze jak najciszej,

tam siadam i o Laurze rozmyślam i piszę,
a Ona, którą Niebo i ziemia ukrywa,
z dali, z daleka, jawi się przede mną żywa
i mogę Ją uwielbić, widzę Ją i słyszę.

— Czemu życia przedwcześnie chcesz odbiec żałobą? —
tymi się słowy moim westchnieniom lituje,
— czemu łza pod powieką, w piersi łkanie wzbiera?

Nie płacz po mnie! Umarłszy, wieczność mam przed sobą,
zgasłszy, wśród nieśmiertelnych świateł się raduję!
Śmierć nie zamyka oczu nam, lecz je otwiera.

Ryszard WASITA

Dokument epoki

W większości książek Stendhala dostrzec można dwie zasadnicze osie, na których autor rozsnuwa fabułę. Są to: polityka i miłość. Dlatego przy omawianiu jego powieści nieodzowną rzeczą jest ukazanie ich tła politycznego i społecznego.

Faza rozwijającego się kapitalizmu doprowadziła do wspaniałego rozkwitu mieszczaństwa francuskiego, które zyskawszy sobie decydujący głos niemal we wszystkich dziedzinach życia, osadza na tronie Ludwika Filipa. W łonie armii francuskiej, w której panuje jeszcze duch Napoleona, zachodzą również przeobrażenia. Armia staje się domeną wpływów bogatego mieszczaństwa, ku niej więc grawituje nowy element — młodzież pochodząca z uprzywilejowanej warstwy, która tu znajduje swój awans, uzupełniając kadry dawnych żołnierzy i oficerów Napoleona I. Występują również na widownię życia narodowego Francji teoretycy socjalizmu utopijnego Saint - Simon i Fourier, którzy co prawda nie mają jeszcze jasno sprecyzowanego programu, jednakże wnoszą w życie ekonomiczne i społeczne dużą dozę twórczego fermentu.

W tym czasie Stendhal oddaje do druku jedną ze swych największych powieści — „Czerwone i czarne". Jedzie w charakterze konsula do Włoch do Civita Vecchia w Państwie Kościelnym. Tutaj, w ciszy spokojnego miasta rodzi się koncepcja „Lucjana Leuwen" (1832). Powieść ta, której zresztą Stendhal dawał kilka tytułów („Pomarańczarnia maltańska", „Zielony strzelec", „Lasek Premol"), w pierwotnych zamiarach autora miała obejmować trzy tomy, odpowiadające pobytom głównego bohatera w Nancy, Paryżu i Rzymie. W rzeczywistości jednak na przestrzeni czterech lat powstają zaledwie dwa tomy „Lucjana Leuwen" (bo taki ostatecznie tytuł zdecydował się autor nadać książce). Trzeci tom nigdy już nie został napisany. Stendhal pracuje zresztą w międzyczasie nad innymi książkami. Wydaje „Nowele włoskie", wtedy również powstaje koncepcja „Pustelni Parmeńskiej". (1836).

Lucjan Leuwen — młody student politechniki, wydalony z niej za przebywanie na ulicy w „niewłaściwej porze", tzn., podczas ulicznych rozruchów, dostaje się dzięki przemożnej protekcji ojca, bogatego bankiera, do wojska, gdzie pełni służbę w prowincjonalnym pułku lansjerów. Odtąd zaczyna się życiowa kariera Lucjana — wojskowa, miłosna i polityczna.

W twórczości Stendhala można dostrzec wiele motywów autobiograficznych. Najjaskrawiej chyba jest to uwypuklone w „Życiu Henryka Brulard". Ale i w omawianej przez nas powieści motywy autobiograficzne występują bogato. Politechnika w Paryżu, służba wojskowa na prowincji, miłość do pani de Chasteller, salon paryski wreszcie — to autentyczne etapy życia powieściopisarza. Lucjan Leuwen - główny bohater książki, to autoportret Stendhala, Bartylda to nikt inny tylko Matylda Dembowska, Polka przebywająca we Włoszech, w której się autor „Pustelni Parmeńskiej" kochał. „Lucjan Leuwen" to literacka transpozycja autentycznych przeżyć Stendhala.

Pisarz trzymający rękę na pulsie wydarzeń, sam na nie żywo reagujący, umieszcza akcję powieści „Lucjan Leuwen" na bliskim mu tle historycznym, ukazując monarchię lipcową, dając realistyczny obraz życia społecznego Francji, obraz epoki i przekrój różnych środowisk, — dzięki umiejętnemu skonstruowaniu akcji i rozsnuciu wątków dokoła głównej postaci.

Książka ilustruje przeobrażenia, jakie się dokonały w społeczeństwie francuskim, w którym prymat w życiu gospodarczym i społecznym przejęły bogate sfery finansowe. Wyrazem tego jest ojciec Lucjana, stary bankier Leuwen, postać oddana ciekawie, z finezją, powiedziałbym nawet z pewnym subtelnym urokiem, nie bardzo licującym z usposobieniem zimnego i wyrachowanego zazwyczaj bankiera. Stendhal z niezwykłą bystrością i wnikliwością ukazuje „ciemne strony" społeczeństwa francuskiego w różnych przekrojach i odcieniach, nadążając za losem Lucjana, który go prowadzi do różnych środowisk. A więc wojsko — dawni oficerowie napoleońscy ulegają przeobrażeniu, zaprzedają się zwyczajnie na służbę bogatej finansjery. Taki np. ppłk. Filloteau, wcale nie bierze sobie tego za ujmę, przyjmując od podwładnych podarki; dowódca dywizji Torence, niegdyś rzeczywiście dzielny żołnierz, — drży przed opinią małego miasta i prowincjonalnego dziennika. Dalej demaskuje Stendhal, jako jeden z pierwszych wśród realistów krytycznych, — życie towarzyskie prowincji, spekulacje giełdowe w Paryżu, intrygi i kombinacje wyborcze, prowokacje polityczne, odsłania kulisy ówczesnego parlamentaryzmu francuskiego.

Obraz Stendhala obejmuje swym zasięgiem mechanizm rządzenia, niemal wszystkie przejawy życia. Autor występuje w roli odważnego demaskatora skandalów politycznych tego okresu, z pasją bystrego obserwatora maluje galerię ludzi skostniałych w swym egoizmie, — urzędników, bankierów, deputowanych, wojskowych. Odnajdujemy również w powieści echa wysiłków proletariatu, jednoczącego się w syndykaty, uświadamiającego sobie swą krzywdę społeczną. I choć te wydarzenia zostały w „Lucjanie Leuwen" zredukowane do roli marginaliów, potraktowane ubogo, to jednak — zważywszy na okres, trzeba je uznać za odważne i dopełniające znakomicie przez Stendhala skreślony obraz obyczajowy społeczeństwa francuskiego za rządów Ludwika Filipa, obraz, który sprawia, że „Lucjana Leuwen" można nazwać dokumentem epoki.

Stendhal, wnikliwy badacz duszy ludzkiej, ukazując wydarzenia nie tylko przez pryzmat polityki i miłości, daje w „Lucjanie Leuwen" wnikliwe, subtelne obserwacje psychologiczne swoich bohaterów.

Styl Stendhala ma jakiś nieodparty urok, tempo narracyjne jest wprost podniecające.

Twórczość francuskiego realisty staje się u nas i gdzie indziej coraz bardziej popularna. Jest to najlepszym kryterium jej wartości. Na naszym gruncie po Boyu-Żeleńskim, kontynuuje z zupełnym powodzeniem działalność popularyzowania Stendhala tłumacz naprawdę świetnie oddający styl i nastrój książek autora „Pustelni Parmeńskiej" — Julian Rogoziński. Nowe tłumaczenia i wznowienia pozwalają na ukazanie właściwych proporcji twórczości pisarza na tle dorobku ówczesnej literatury francuskiej.

Ryszard Wasita

Jan DOBRACZYŃSKI

BOŻE CIAŁO

(fragment większej całości*)

— Wasza świątobliwość...

Urban IV przemógł usypiającą go słabość. Jego serce pracowało leniwie, posuwało się ciężko, jak wóz zaprzężony w śmiertelnie znużone konie. Ściany pałacu wyłożone ciemnymi draperiami wstępowały niedostrzegalnie w noc. Złoty krąg blasku, który opinał niby pajęczyna świecznik, drgał od czasu do czasu, odpowiadając zaledwie słyszalnym wstrząśnieniom gdzieś w trzewiach budynku i kościoła.

— Czego pragniesz, mój synu?

— Czujecie się źle, prawda? — kardynał Castiglione poprawił po-



duszki, podłożone pod plecy i głowę papieża. Czy nie należało by odwołać jutrzejszej uroczystości? I może było by lepiej, abyście się jeszcze raz, ojcze święty, namyślili, czy słuszną rzecz nakazaliście...

Żałosnym protestem przeciwko tym słowom Urban dźwignął się na swym fotelu.

— Nie — powiedział —nie. Nie będę się już namyślał, nie cofnę się. Zbyt długo się namyślałem. Bądź spokojny, synu. Jutro będę miał dość sił, by wynieść Jezusa z bazyliki i ponieść Go przez miasto aż do Matki Bożej Śnieżnej...

— A jednak — kardynał podciągnął okrywające kolana starca nakrycie, — czy nie boicie się, wasza świątobliwość, że jakaś obraza może spotkać Najświętszy Sakrament? Przecież wyniesiecie samego Boga między ludzi grzesznych. Król Jakub Aragoński zabronił stawiania figur świętych przy drogach, by nie uległy sprofanowaniu. Pewno — jutro straże będą pilnowały... Ale jak będzie gdzie indziej? Wszak to święto chcecie by obchodził cały świat chrześcijański...

— Tak, cały świat — potwierdził. Zbierał siły, dysząc ciężko, by odpowiedzieć kardynałowi. — Mówisz o obrazie. Więcej, wierz mi, obrażamy Jezusa w sercu, niż obrazić Go można na ulicy... Pan nasz, przebywając widomie na ziemi, nie bał się ocierać o ludzi złych i grzesznych, wchodzić w tłum, w którym się popychano i ciśnięto, zaglądać do mieszkań, pełnych ludzkiej nędzy i słabości... Na pewno Mu tam nieraz nie oddano należytego szacunku... Ale On na to nie zważał... Nie po Swoją chwałę przyszedł między ludzi, ale dla nich przyszedł... Przyszedł i pozostał na ołtarzach, by każdej naszej słabości śpieszyć z pomocą. Mamy Go między sobą... I nie obrażamy Go tym, czym jesteśmy... To nierozsądek wymagać od ludzi, aby najpierw zmienili się, a potem dopiero przychodzili do Niego... Słowo Boże jest wszystkim. Jest początkiem... Ono samo przychodzi. Zmieniło się w kawałek Chleba i w łyk Wina, ale gdy nam groziło zwątpienie, to Wino trysnęło Żywą Krwią na korporał w Bolsena... Czytałeś ten piękny hymn, który ułożył brat Tomasz na jutrzejsze święto? Krew stała się Winem, byśmy ją mogli pić, my, pielgrzymi... Wierz mi, synu: chciałbym jutro wyjść z kościoła z kielichem nie na Rzym tylko — ale na cały świat! Stary jestem i znam życie. Zjeździłem ziemie chrześcijańskie z krańca na kraniec. Woziłem poselstwa, wezwania, pochwały i nagany, błogosławieństwa i klątwy. Dziś wiem... Było by inaczej, gdybym był szedł do ludzi z Jezusem, tylko z Jezusem...

Głos starca był coraz cichszy. Ostatnie słowa zaledwie można było usłyszeć.

— Sądzicie, ojcze święty — w słowach kardynała zabrzmiało powątpiewanie, — że to święto stanie się cudem odmiany życia chrześcijan?

— A tak... tak... cudem... — znowu dyszał starczy głos. — Tyle jest koło nas cudów. Każda Przemiana na ołtarzu. Cud jest zawsze gdy chrześcijanie są z Nim... Tylko trzeba być bliżej, bliżej... Chrześcijanie chcą za Chrystusa walczyć, bronić Go... Jego nie trzeba bronić... Nie... Jego trzeba...

Kardynał Castiglione poruszył lekko ramionami. Urban mówił coś jeszcze cicho i niezrozumiale, ale on go nie słuchał. Był zmęczony czuwaniem, sądził, że papież majaczy.



Szept mieszał się z ciężkim, rwanym oddechem chorego. Poprzez mury Lateranu dochodził stukot młotów: to zbijano podniesienie pod łtarz na zewnętrznej ścianie kościoła.

— Synu... — doszło go wypowiedziane wyraźniej. Wstał i pochylił się trochę nad leżącym.

— Czy gorzej się czujecie, ojcze święty? Może wam coś podać? A najlepiej obudzę medyka...

— Nie, nie... starzec zmagał się ze swą słabością. — Nie... Nikogo nie budź... Czy wiesz co On jej powiedział? — zapytał nagle.

— Komu, wasza świątobliwość?

— Ewie, pustelnicy... Mówił: cierpię od niewiernych, ale stokroć bardziej cierpię przez was... Póki byliście Mi wierni, miałem związane ręce mojej sprawiedliwości... Dziś Moja Krew leje się bezpożytecznie. Przypomnijcie sobie o Niej! Zobaczcie, jak wśród waszych sporów umieram bez końca...

Castiglione otarł chustką czoło starca, na którym perlił się pot.

— To słowa niepewne — zauważył. — Pełno dziś przeczulonych zakonnic, każdej z nich się zdaje, że słyszy samego Chrystusa... Choćby ta, o której pisał arcybiskup Wilbrand z Magdeburga... Podobno półszalona...

Dotknięcie zimnej dłoni powstrzymało go. Zobaczył, że papież ma szeroko rozwarte oczy.

— A słowa, synu... same słowa... czy ci nie wystarczą? To nieważne kto je słyszał... Takie słowa... Tylko On mógł je wypowiedzieć...

Z trudem, wsparty na ręku kardynała, łyknął kilka kropel napoju, który przygotował medyk. Znowu opadł z jękiem. Młoty i siekiery wciąż stukały, płomień świecy drgał, jak ktoś, kto podskakuje ze strachu. Papież na nowo zaczął mówić, niewyraźnie i bełkotliwie.

—Czy chcecie czego, ojcze święty? — Castiglione z wysiłkiem wyrwał się z objęć ogarniającej go drzemki.

— ...tylko On... — mówił chory, jakby nie słyszał pytania, — tylko On... Im więcej grzechów, tym więcej miłosierdzia... Felix culpa, felix culpa... Ludzie gorsi, On — coraz miłosierniejszy. Nie wystarcza mu, że za nas umarł. Jeszcze Siebie... nam przed oczy... My upadamy, błądzimy, odchodzimy, uciekamy gdy nas woła, nie umiemy Mu zaufać, psujemy... A on naprawia... Lepiej niż było... Mirabiliter condidisti et mirabilius reformasti... Dwie historie świata, synu, dwie... Ja do Matki Bożej Śnieżnej... Ale potem... dalej...

Głos zgasł nagle jak zdmuchnięta świeca. Papież zapadł w poduszki. Otwarte usta drżały, pierś poruszała się łapczywie. Castiglione zerwał się z miejsca i pochylił nad chorym. Zastanawiał się czy już uderzyć w srebrny dzwon, zawieszony przy drzwiach na tkanej taśmie. Ale cienkie, fioletowe powieki podniosły się powoli w górę, a na zbielałej twarzy zapaliły się czarne oczy syna szewca z Troyers.

— Ojcze święty, wydajecie się bardzo chorzy... Naprawdę, obudzę lekarza... I jutro trzeba...

Uspokoił go lekkim potrząśnięciem głowy.

— Nie... nie... — wyszeptał, — to nic.. — Niespodziewanie uśmiech ogarnął ściągnięte policzki i zaostrzone rysy popieża. — Całe życie uciekałem... — podjął niezrozumiale, — Bóg doścignął... dość sił... dosyć... na jutro...

— — — — — — — — — — — —

Kolorowy tłum począł się wywalać z kościoła i spływać najpierw na szeroką platformę tarasu, a potem po schodach w dół. Pierwsi wychodzący zbiegli szybko, lecz gdy masa stała się gęsta i zwarta, posuwanie jej poczęło przypominać wahający się i powolny spływ lawy. Nad ciżbą wznosiły się chorągwie, figury świętych, krzyże, obrazy. Straż papieska ustawiała ludzi, tworzyła z nich procesję. Setki dzwonków rozlegało się świergotem. Równocześnie podniosła się pieśń. Ludzie wychodzili i wychodzili z bazyliki, zmieszani początkowo, ale zaraz rozpadający się na grupy cechów, bractw i związków. Gromadka ludzi, ledwo znalazłszy się na placu, na dany znak przez człowieka stojącego w ich kole poczęła zrywać z siebie odzienie. Ledwo inni zrozumieli o co chodzi, już stał sznur obnażonych do pasa mężczyzn i kobiet z batami z powrozów w ręku. Zanim jednak biczownicy rozpoczęli swój pochód, pośpieszyli żołnierze i rozpędzili ich, nie skąpiąc uderzeń. Śpiew rósł w miarę jak coraz większy tłum wydobywał się z kościoła. Szły zakonnice, a za nimi zakonnicy, z zapalonymi świecami w ręku: buro odziani franciszkanie, czarno-biali dominikanie z mistrzem pałacu papieskiego między sobą, potem benedyktyni, cystersi, augustianie, ka-



nonicy regularni, premonstranci, karmelici przywiezieni przez króla Ludwika z ziemi świętej, krzyżowcy z Clair-Lieu, z czerwonobiałymi krzyżami na habitach, serwici z Monte Senario, trynitarze, od wykupu niewolników z rąk niewiernych i temu samemu celowi służący zakon Najświętszej Maryi Panny de Mercede, szpitalnicy św. Antoniego, lazaryści, szpitalnicy św. Ducha. Golone głowy płynęły masą niby banie piany na wzburzonej powierzchni potoku. Pieśń potężniała. Nakryci płatami sukna, niewidzialni ludzie, nieśli na swych barkach całe grupy świętych figur. Potem jak śnieg rozsypało się po schodach całe mrowie dzieci, w białych sukienkach, z czarnymi główkami ubranymi w wieńce z kwiatów. Bicie dzwonków stało się gwałtowne niby rejwach ptactwa przed odlotem. Biły także dzwony z wież — i te, nad głowami tłumu dzwony od św. Jana, i inne, ze wszystkich bazylik i kościołów rzymskich. Buchnęły kłęby niebieskiego dymu z trybularzy. I wtedy ci, którzy nie szli naprzód ale zatrzymywali się po bokach tarasu, poczęli się wspinać na palce i patrzeć ciekawie jedni przez ramiona drugich. Podtrzymywany przez dwóch klęczących jak i on kardynałów, niesiony na odkrytej i płaskiej lektyce. Urban IV ukazał się nad głowami ludzi. Umierający starzec trzymał w drżących rękach kielich, zaś nad nim Hostię. Na ten widok zapanowało w tłumie najpród głębokie milczenie, potem wybuchnął krzyk, splątując i zagłuszając śpiewy. Ludzie nie wiedzieli dlaczego krzyczą, dlaczego cieszą się, dlaczego wymachują rękami, kapeluszami, chustkami, dlaczego klaszczą w ręce. Po raz pierwszy od setek lat rozgorzałe słońce dotknęło zuchwale białego Płatka, zawsze starannie ukrywanego w mrocznych głębiach kościołów. Dotknęło, prześwietliło Go, rozsypało skry wokół kielicha. Krzyk zmieszany z dźwiękiem dzwonów i dzwonków trwał. Lektyka zatrzymała się na skraju tarasu, jakby zastanawiając się czy spłynąć w tłum miotający się niby wzburzone morze. Tymczasem czoło pochodu zakręciło wokół placu przed katedrą, minęło wyzłoconą mozaikami niszę — Triclinio Leoniano — potoczyło się skrajem wzgórza pod zbutwiałymi arkadami wodociągu Klaudiusza. Wąż ludzi sunął, napełniając sobą przestrzeń między pałacem a murami szpitala. Stąd widać było miasto: Awentyn, osnuty mgłą, za garbem Caellius, za szpitalem i za okrągłą świątyńką św. Stefana wśród drzew: Palatyn — urwiste wzgórze zieloności, bodące niebo stożkami cyprysów, zaś u jego stóp stłoczoną masę domów i domków, pałaców i lepianek, zamków niby wieże, kolumn wyrastających z ziemi jak bezlistne drzewa, obrosłych ziemią łuków, Colosseum, przypominające kształtem potworny gołębnik: zielony Eskiwilin gdzie drzewa splatają się z ruiną, zakończony rozłożystą sylwetą Santa Maria Maggiore. Ulica szła w dół i w nią poczęli się tłoczyć ludzie. Lektyka opuściła wreszcie taras. Nie spłynęła lekko. Ludzie, którzy ją nieśli schodzili ostrożnie po schodach. Grupa klęczących z połyskliwym kielichem w górze zdawała się drżeć. Niezgrabne zwierzę stawiało niepewnie nogi, by nie stracić gwiazdy wiszącej mu nad czołem. Krzyk ludzki ucichł. Przeszedł znowu w pomieszany, zgiełkliwy dźwięk dzwonów i w śpiew. Zataczając zygzak na placu, ludzie śpiewali nową pieśń, której słowa rozpisane na tysiącach kawałków papieru, rozdane były między uczestników nabożeństwa:

Lauda. Sion, Salvatorem,
lauda Ducem et Pastorem
in hymnis et canticis.

Quantum potes, tantum aude:
quia maior omni laude
nec laudare sufficis...

Ten, który był autorem pieśni, gruby, zapocony brat dominikański, szedł niedaleko za lektyką oddzielony od niej szkarłatną ławą kardynałów i fioletową barierą biskupów. Nad głowami w mitrach i nad głowicami pastorałów widział dłonie trzymające najwyższym wysiłkiem woli biały Krążek — i mógł się weń wpatrywać. Myśl zakonnika pracowała jak zwykle: równo, składnie, nieustępliwie logicznie, budowała kryształowe schody wniosków i dedukcyj o matematycznej pre-

*) Rzecz dzieje się w XIII w.

cyzji, tam gdzie ona graniczy już z poezją. Zdania, które pisał, kreślił i znowu formował w ciszy klasztoru, u stóp wielkiego krucyfiksu, zdawały mu się wciąż nie dość pełne treści. Już teraz nie był pewien, czy nie należało by powiedzieć jeszcze jaśniej i jeszcze krócej:

Sub diversis speciebus
signis tantis et non rebus
latent res exmiae.

Caro cibus, sanguis potus:
manet tamen Christus totius
sub utraque specie...

Życie, myślał, to wieczna groźba zamierania. W naszym doczesnym ciele musimy odżywiać się chlebem, aby wciąż przeciwstawiać nowe siły rozkładowi materii. Tak samo nasz



duch: wzlatuje lecz opada, a jego najwyższy nawet lot skręca w końcu ku ziemi. Nie wystrzelamy w niebo jak cyprys; przeginamy się w piasek jak fontanna. Każda chwila naszego życia grozi załamaniem lotu. W każdej chwili może obudzić się bezwład. I tylko jeden jest ratunek, jeden sposób na to wyczerpywanie się porywu, na gaśnięcie energii, na kończenie się człowieka. Właśnie to:

A sumente non concisus
non confractus, non divisus:
integer accipitur...

Tak. myślał i patrzał oczami pełnymi łez, tak... Nic się nie dzieli, nic nie słabnie. Moc pozostaje i trwa. On jest zawsze cały. Wszystek we wszystkim. Nietknięty i wciąż przywołujący. Jak teraz choćby... Idzie nad ulicami najbardziej grzesznego miasta. Nie żałuje Siebie nikomu. Chce być dla każdego. I starczy Go dla każdego.

Sumit unus, sumunt mille:
quantum isti, tantum ille:
nec sumptus consumitur...

Dla nich wszystkich, dla tego wielotysięcznego tłumu: cechów, bractw, zakonów, duchowieństwa, rycerzy, mieszczan, chłopów, przybyłych ze wszystkich stron! Procesja, nad którą niby łódka na niespokojnej wodzie płynęła lektyka ze starcem trzymającym Boga, schodziła ze wzgórza. Jej czoło wstępowało już wyżej, niby w bramę, między kościoły św. Praksedy i św. Wita. Nowe tłumy stały na tarasie bazyliki Matki Bożej. Ogon pochodu dopiero teraz opuszczał plac przed Lateranem. Na samym końcu wlekli się żebracy, cała ich armia o kulach, owrzodzeni, zaledwie ukrywający pod łachmanami swoją odrażającą nagość. Łapczywie rzucali się na grosze, które idący w procesji rzucali na ziemię. Plac opustoszał pod głuchym łomotem dzwonów.

Dwaj tylko ludzie pozostali po przejściu procesji. Byli bosi, mieli na sobie wyskubane, franciszkańskie habity ściągnięte sznurem. Nasunęli na głowy szpiczaste kaptury. Niższy odezwał się do towarzysza:

— I cóż, bracie Makary, widzieliśmy wielki dzień, nieprawdaż? Ale teraz już pójdziemy. Czas w drogę...

— Czas... — przyznał tamten. Ale ciężko, jakby już znużony długą wędrówką, ruszył z miejsca. Dzwony łopotały nad wyludnionym placem, niby wielki ptak skrzydłami. — Chciałbym już być na miejscu... — westchnął.

— Och — uśmiechnął się pierwszy. — Pilno ci? A my daleką mamy drogę przed sobą i na niej czekają nas zmęczenie i zwątpienia. Ale tak już jest, bracie. Droga do nieba, to nie kosztowanie jego słodyczy już tutaj...

— A jednak... — mnich nazwany Makarym zatrzymał się i mocno zacisnął dłoń na swym kiju podróżnym. — Czyż żadnego znaku nie można tutaj otrzymać? Zostawiłem Lewona...

Pod nisko zwisającym kapturem widać było zaciśnięte boleśnie usta. Z długimi, pątniczymi laskami w rękach wyglądali na owczarzy, którzy się oglądają za zgubioną trzodą. Jego towarzysz wziął go za rękę.

— Nie trap się — powiedział. — Zawierz Bogu i staraj się mieć serce lekkie. Chodź. Jest wiele dróg Bożych — ciągnął, — a na nich zwycięstwa i triumfy. Ale wszystko może być Bożym znakiem... I o syna się nie martw. Nikt nie jest pozostawiony samemu sobie.

Rozmawiając szli w stronę bramy św. Jana. Ulica była wyludniona, małe lepianki poprzyczepiane, niby jaskółcze gniazda do ułomków starych murów, wydawały się puste. Wszystko, co żyło w Rzymie, wędrowało teraz w dół i w górę za lektyką papieża. Z dala, ponad ruinami zmagającymi się z drapieżną zielonością, płynęły zwrotki pieśni:

Ecce panis Angelorum
factus cibus viatorum:
vere panis filiorum...

— Nie mam lekkości w sercu Wilfrydzie — wyznał żałośnie. — Wciąż mi się wydaje, że chcąc Mu służyć, przez moją niegodność, uczyniłem właśnie przeciwnie...

— A skąd wiesz czym my Mu służymy najlepiej? I Judasz Mu służył, choć kradł z kieski Apostołów, i Piotr — choć porwał się na Malchusa... Miecz jest grzechem naszej słabości. I tylko świętość okupuje słabość...

Minęli bramę. Biały szlak przecinający szmaragdową kampanię rzymską, rozwarł się przed nimi i wchłonął ich. Szli teraz prędzej, bez wahań, ale statecznie, jak ludzie, którzy mają przed sobą wielki szmat drogi.

— A Tartarzy? — zapytał po chwili. — Ich chrześcijaństwo zginie...

— Idziemy właśnie do nich, by nie zginęło — odparł Wilfryd. Mały zakonnik podniósł w niebo swą brzydką lecz pełną radości twarz. Nabrał humoru i oddychał lżej, odkąd opuścili stłoczone mury i szli gościńcem, który zdawał się nie mieć końca i prowadzić w bezkresne, niebieskie niebo. — Będziemy siać...



Nagle od rozdzwonionego miasta, które zostało za nimi, podniósł się taki hałas, że zatrzymali się obaj i odwrócili. Kopuła nieba dygotała od srebrnego dźwięku, który odbiwszy się od niej, leciał na pola, między cyprysy i białe, nadgrobne kamienie starożytnych Rzymian, spoczywających w cieniu pinii.

— Słyszysz? — zapytał Wilfryd. — Teraz uderzyły dzwony od Matki Bożej Śnieżnej. Ojciec święty doszedł już tam. Jakie to piękne: zaniósł Syna Matce by Ona dała Go wszystkim... — Czas jakiś stali nieruchomo wsłuchując się w radosny krzyk dzwonów. Ale gdy twarz Hettuma poczęła się znowu zasępiać, Wilfryd dał znak, by szli dalej. Znowu po białych kamieniach człapały ich stopy i stukały kije. Mały zakonnik zwrócił się do towarzysza.

— Czy ci mówiłem — zapytał, — co to jest radość doskonała według nauki ojca naszego Franciszka?

Jan Dobraczyński

Andrzej ODNOWA

»Barberyna« Musseta w Sopocie

Tygodnie spędzone na przekładach komedyj Musseta zaliczał Boy do najmilszych w swoim literackim rzemiośle. Dzięki wznowieniu PIW-u mamy te przekłady znowu przed sobą, jakże świetne, jak wspaniale wycyzelowane. Leży też przed czytelnikiem wstęp „od tłumacza", z roku 1934. Lecz ten budzi już niejedno zastrzeżenie.

Powiedzmy sobie otwarcie: Znakomity tłumacz zubożył nasze spojrzenie na Musseta. Naświetlał jego twórczość jednostronnie, niekiedy prawie bezkrytycznie. W swym wstępie sprawia Boy wrażenie, jakby wywoływał z przeszłości wspomnienie młodzieńczego, sztubacko-naiwnego oczarowania. Nazywa teatr Musseta — „teatrem miłości", lecz nie chce dostrzec, jak mało w nim wiary w miłość, jak wiele romantycznego spleenu, zblazowania, cynizmu. Lecz Boy, a za nim mieszczański teatr międzywojenny, ba, do niedawna nawet nasz teatr powojenny, uprzywilejowywał właśnie komedie najbardziej f ywolne, „Komedie z trójkątem": „Świecznik" i „Kaprysy Marianny" oraz rozgrywający się na skraju przepaści „Kaprys" i osuwające się poza ów skraj „Nie igra się z miłością".

Na szczęście, teatr Musseta jest bogatszy, niż go nam dotąd przedstawiano. Nie tylko dzięki „Lorenzaccio", odsłaniającemu zainteresowania psychologią świata polityki. Oczywiście, nawet mimo tej niezwykłej sztuki jest t- w pewnym sensie teatr miłości, teatr niemal wyłącznie zamknięty w kręgu miłosnej tematyki. Nie jest on jednak całkowicie pozbawiony ani jakiejś reszty konstruktywnego sensu obyczajowego, ani ukrytych aluzji do aktualnej rzeczywistości społecznej swego czasu.

Dostrzegamy je i w „Barberynie", która ukazuje się po raz pierwszy w Polsce na sopockiej scenie Teatru „Wybrzeże".

Niech nas nie zwodzi nieokreślone, nierzeczywiste środowisko komedii. W geografii i historii nie rości sobie Musset większych pretensyj do wierności aniżeli Szekspir, na którym się wzoruje w baśniowym arrangement swych maskaradowych komedyj. Choć rzutuje swój żart sceniczny na tło czasów rycerskich, łatwo poznajemy, że chodzi raczej o lata, kiedy dogasają ostatki feudalnych fortun, w jakiejś przestarzałej, operetkowej monarchii... austrowęgierskiej. Nie zapominajmy, że Alfred de Musset był sam potomkiem arystokratycznego rodu.

Podupadłym młodym arystokratą jest w naszej sztuce i hrabia Ulryk, mąż pięknej Barberyny. Jego ojciec strwonił majątek, zostali biedni, choć z wielkimi tytułami. Lecz, niestety, na pieniądzu stoi świat. Nawet szlachetna Barberyna wie, że „nic kobiety nie czyni tak lekką, jak tuzin łokci aksamitu wlokących się u jej sukni". Co robić? Ulryk czyni to samo, co czynili podupadli młodzi arystokraci XIX wieku.: wstępuje do służby państwowej, udaje się na dwór. Magia starych tradycyj jeszcze działa. Protekcja kobiety dopełni reszty. „Znałam dobrze twojego ojca — zwierza mu królowa — młoda twoja twarz mówi mi o przeszłości... Bądź spokojny, ja cię zalecę".

Potęga miłości przekracza pokolenia: kariera dworska staje otworem przed zubożałym hrabią. Pod pokrywką baśniowego wątku otrzymujemy dość pikantny obrazek współczesny.

Drugi bohater komedii, Astolf, to upostaciowanie wspomnienia autora z własnego wkraczania w świat, wejścia pełnego górnych marzeń i zaufania w sobie. Lecz i na nim ukazuje Musset jeszcze znamienniej obyczajową rzeczywistość swej epoki. Traktowany z ironią, ale i sentymentem, Astolf von Rosemberg jest maminsynkiem, wyjątkowo jeszcze bogato wyposażonym, a naiwnie spragnionym laurów rycerskich, jeszcze zaś bardziej... miłosnych. Najgorsze — martwi się — że nic nie umie; nic nie jest w stanie zapamiętać... Lecz rycerz-awanturnik Władysław łatwo go uspokaja. Daje mu sekret stanowiący publiczną tajemnicę: jeżeli ma pieniądze, to najlepszy talizman pod słońcem. Wskazuje mu również drogę do powodzenia w świecie. Te nauki Władysława godne są uwagi. Zarysowują one sylwetkę światowca, wzór który mutatis mutandis przejdzie ze schyłkowego świata towarzyskiego feudalizmu do świata mieszczaństwa.

Zaczynać należy od łask u kobiet — uczy Władysław. Traktuj je bez wyjątku jak bóstwa, jeśli zaś drwisz z nich, drwij z największą dwornością i szacunkiem. Dalszy etap w karierze światowca to zdobycie podziwu mężczyzn. Wielką przewagę zyskuje się dzięki grzeczności, ale obojętnej, milczącej. Zbytek i lekceważąca mina są zawsze wskazane.

„Niech ci nie postanie w głowie wątpić o sobie: wówczas i świat zaczyna od razu wątpić. Choćbyś strzelił największe głupstwo nie cofaj się przed samym biesem... Słowem poczynaj sobie ni mniej, ni więcej tak, jakby słońce i gwiazdy by`y twym lennem i jak gdyby wróżka Morgana trzymała cie do chrztu."

Chcieć to móc, śmieć to mieć — podsumowuje swe wskazania Władysław, typowy straceniec i awanturnik życiowy. Znamienne są momenty antagonistyczne, przenikające nawet do towarzyskich stosunków między ludźmi w komedii Musseta.

„Zapomnij, gdy przyjdzie działać, że jest coś prócz ciebie... W ten sposób, otarłszy się z wdziękiem o ciżbę, która cię otacza... będziesz uchodził za niebezpiecznego i będziesz naprawdę wytrawny, potężny i groźny".

Musset, potomek arystokracji, bystro podpatruje moralność możnych ówczesnego świata. Ukazuje, jak w społeczeństwie tym, a opierało się ono na kulcie władzy i posiadania, człowiek zapanować chce nad bliźnim. We wskazaniach Władysława odzywa się już przyszły styl wszelkich imperializmów, ich „woli mocy", drapieżnego, zaborczego indywidualizmu. Jakże oddalono się od etycznych ideałów chrześcijaństwa.

Do obrazu ówczesnej moralności, utrwalonego w baśniowej anegdocie większości swych komedyj, Musset sam w gruncie rzeczy przyznawał swą postawą. Nie przeciwstawiał mu innej, wyższej koncepcji etycznej. Dzięki temu brzmią jego komedie tak często cynicznie i prawie zawsze pozbawione są czystego sensu moralnego. Z drugiej jednak strony, czy to ulegając naciskowi opinii, czy pod wpływem jakiegoś osadu pojęć religijnych, czy wreszcie dla efektu konstrukcyjnego, Musset, zarażając widza mało budującą, arcyświatową atmosferą większości swych komedii, w ich zakończeniu ocala przeważnie, choć niekiedy w sposób dość konwencjonalny, jakiś zdrowszy moralny sens.

Być może, mamy tu do czynienia z typową dla mentalności arystokratycznej podwójną moralnością. Już Michał de Montaigne formował w XVI w. dla wtajemniczonych system moralności bardzo wyzwolonej, zalecając jednak pospólstwu uparcie trzymanie się tradycyjnej etyki i religii. Być jednak może, jest Musset bardziej szczery. Bohater innej jego komedii, tej samej, która podsunęła Słowackiemu tytuł „Fantazego" (dzieło Słowackiego ujrzymy wkrótce w Gdyni), bohater ten wypowiada na przykład niezwykle znamienne słowa o religii jako o „mamce miłości". Miłość — melancholijnie rozważa Fantasio — to bestia, którą trzeba złamać we dwoje u stóp ołtarza i spożyć wspólnie w pocałunku; nie ma już ołtarza, nie ma już miłości. Niech żyje natura! Jest jeszcze wino!"

„Barberyna" jest pod względem czystości tonu etycznego komedią najbardziej z mussetowskich pozytywną. Staje się wprost komedią z morałem. Przedstawieni w ekspozycji „rycerze" nie biorą udziału w toczonej przez króla wojnie ale jako oficerowie „tyłowi" rozgrywają zakład, który choć sam w sobie zgoła zdrożny, w wyniku swym staje się niemal umoralniający. Zakład podobny jak w „Nie trzeba się zarzekać". Astolf podejmuje się przełamać wierność Barberyny dla Ulryka. Zakończenie jak u Szekspira przynosi pochwałę wiernej Penelopy a despekt uwodzicielowi, który zamknięty w izbie przez kobiety nauczy się pożytecznej pracy. Już bohaterowi „Fantasio" nasuwa się podobna myśl, o pracy „Uważasz jedną rzecz, Spark? my nie mamy zawodu; nie uprawiamy żadnej profesji."

Formalnie „Barberyna" nie odbiega od ogółu komedyj Musseta. Sceneria dość typowa i dość konwencjonalna: gospoda, dwór królowej, zamek Urlika i Barberyny. Konstrukcja akcji wyjątkowo luźna. „Ekspozycja", dłuższa niż w którejkolwiek z komedyj, przeciąga się aż po połowę II aktu, w którym następuje zadzierzgnięcie komediowego węzła: zakład. Jego wynik jest z góry domyślny. Lecz jak zawsze u Musseta, poezja wyrównuje wszelkie niedomogi fabuły, a słowa dialogów „migocą jak diamenty".

Jak wypadła „prapremiera" komedii na Wybrzeżu? Obecny teatr sopocki nie grywał dotąd — poza bodaj jedynym „Poskromieniem złośnicy"—sztuk poetyckich. Nie ma też obsady po temu. Mimo tego, zatracając wprawdzie po drodze to i owo z cienkości Musseta, wyszedł z zadania dość obronną ręką.

Reżyseria St. Kwaskowskiego uczyniła z „Barberyny" beztroską bajkę z muzyką, bardziej obliczoną na podobanie się i zabawę, aniżeli na momenty poetyckiego wzruszenia. Reżyseria niezupełnie była jednolita. „Taniec z mieczami" zamiast pojedynku sugerował bajkowy charakter przedstawienia, któremu przeczyło ujęcie większości ról, raczej zbliżone do realistycznego. Czy nie należało świadomie unowocześnić „Barberynę", odtworzyć ją jako komedię salonową? W czasie festiwalu szekspirowskiego dokonano podobnego zabiegu na „Wiele hałasu o nic" na scence Teatru Małego. Reżyseria Sawana oraz interpretacja Lidii Wysockiej i Żabczyńskiego złożyły się wówczas na efekt wcale interesujący.

Piękne dekoracje i kostiumy F. Krassowskiego. Muzyka Wł. Walentynowicza. Prolog i epilog K. Barnasia, dobrze napisany, ale był kropką nad „i" zupełnie niepotrzebną. Babcię z prologu, St. Gajewską, wolelibyśmy trochę bardziej francuską, w duchu sztuki. Śpiew I. Jęsiakówny (zza sceny) miał dużo wyrazu lecz, żal nam było Barberyny, męczącej się udawaniem, że to ona tak pięknie śpiewa.

Premiera polska „Barberyny", przy wszystkich nieuniknionych w Sopocie punktach słabych, potwierdza wysokie repertuarowe ambicje Teatru „Wybrzeże". Próba sopocka z „Barberyny" dowiodła również, że nowo przyswojona naszemu teatrowi komedia Musseta warta jest powtórzenia na dalszych krajowych scenach.

Andrzej Odnowa

Marek Antoni WASILEWSKI

Bajka o dumnym jaku

Czy też wiecie,
Że w Tybecie
Mieszkał sobie pewien jak.
Bardzo wielki
Jakom wszelkim
Jak ten mawiał zawsze tak:
— Ja nie jestem jaki-taki,
Jak wy wszyscy, proste jaki,
Co chodzicie zwykłą drogą;
Ja mam biały jak śnieg ogon,
Również białe mam kopyta,
Jestem lepszy, no i kwita.



Zmykaj w niże z moich gór!
Dalej jak się wielce puszył
Nos zadzierał, wznosił uszy,
Bił ogonem, bił kopytem
Bardzo dumny będąc przy tym.
Podziwiały go zwierzęta,
Zawsze ktoś się przy nim pętał.
By go ujrzeć wszczęto wyścig,
Zewsząd zbiegli się turyści.
Każdy nań wyłupiał oko,
Jeden przez drugiego cmokał
I powiadał — tak, tak, tak,
To zaiste super-jak.
Przychodziły kozły, owce,
Kozy, osły i piżmowce
Oraz inne, zwykłe jaki.
— Ach, to jak nie byle jaki —
Tak zwierzęta się zwierzały.
(A to rzecz wam mogę szczerze:
Zwierzę skłonne jest do zwierzeń.)
A jak puchnął, aż tył z dumy.
Dął się tak jak tylko umiał.
Mówił: hellou, a nie: halo,
Kształtem przypominał balon.
Wreszcie pycha sięgła szczytu.
Jak przywłaszczył sobie tytuł
I o sobie mówił tak:
— Jaśnie oświecony jak.
Xiąże jak, że oświecony
Nikt nie wątpił, nawet żony,
Których jak miał ile chciał,
Bo jak był to mąż na schwał.
— Z niebios — mówił — jasność biła
I mój ogon oświeciła.
Jasność lśni na mych kopytach.
Prawda prosta i niezbita,



Na mej drodze słać by trzeba
Atłas równy barwie nieba.
Chyba to pojmiecie sami,
Że jedwabie i aksamit
To jedyne są ozdoby
Godne świetnej mej osoby.
— Tak — myczały na to jaki. —
Ten jak nie jest jaki-taki.
Wiemy o tym dobrze wszak,
Że to jest niezwykły jak.
Jak szedł dumny, łeb wzniósł w górę,
Nosem tkwił bez mała w chmurach.
Jaki biły mu pokłony,
Tak niezwykły jak był czczony.
— Z drogi — wołał — proste jaki!
Idzie jak, ów ssak nad ssaki!
— Tak — myczały jaki — tak,
Jak ten to nadjaczy jak.
Biały ogon i kopyta.
Skąd to ma? Któż śmie zapytać?
Aż pewnego razu doń
Przyszedł nie jak, ale koń.
Koń bezczelnie bez krzty taktu
Spytał go: — Mój jaku, jak to
Stało się, że masz kończyny
Białe. Z jakiej to przyczyny?
Mówiąc bowiem między nami
Cały tego ciekaw Pamir.
A jak na to: — Kolor biały
Znaczy żem jest doskonały.



Możesz pojąć to ogierze?
— Mogę — odparł — lecz nie wierzę.
— Ach, bezczelny! — ryknął jak.
Więc nie wierzysz? To to tak?!
Mnie nie wierzysz, którym nawet
Wiózł na grzbiecie dalaj-lamę?
Ty wał-koniu, skoroś gbur,

Żem jest tak szlachetny jak
Być nim może tylko jak.
Ja ku lepszym ciążę sferom,
Jam jest jak, a jak nie zero.
I tak czuł się z wyższych sfer,
Że z francuska mówił „r".
Aż pewnego razu w lecie,
Kiedy stopniał śnieg w Tybecie,
Przyszedł pastuch, zaprzągł jaka
I rzekł: — Patrzcie! A to draka!
Jak rok temu w wapno wpadł,
Jeszcze ma na nogach ślad,
Jeszcze biały na ogonie.
Czas z tym wreszcie zrobić koniec.
Szczotkę wziął i umył jaka.
Ach, jak wtedy jak zapłakał.
Biały ogon jaka zmyli,
Już nikogo nie mógł mylić.
Patrzą wszyscy jak to? jak?
Przecież z jaka zwykły jak.
Przyszły owce, przyszły konie,
Mówią: — Oto pychy koniec.
Można przyjrzeć mu się z bliska,
Dotknąć nogi, dotknąć pyska.
Spójrzcie, ten co równy bogom
Ma normalny, czarny ogon.
Najzwyklejsze ma kopyta
Jak to zwykły no i kwita.

— — — — — — — — — —

Pewnoś morał poznać rad:
— Nie chwal się, jeżeliś wpadł,
Bowiem zgodnie z losem jaka
Korzyść z tego jest nijaka.
Prawda zaś to jest najczystsza,
Że nie ładnie się wywyższać.

KŁOPOTY Z FELIETONEM CZYLI NIEWYKORZYSTANE OKAZJE

Wtęp poetycki.

Chociaż felietonistów w Polsce
dzisiaj bardzo wielu
Żaden z nich nie śmie igrać przy
Kisielu.

Lecz ja się odważę bo orla jest moja
potęga
I tam nawet sięgnie gdzie Żuk już
nie sięga.

A oprócz tego, jako piorun moje
ramię,
Bo zdążę z felietonem choć numer się
łamie.

Przepraszam, że zaczynam wierszem, ale jak człowiek ma do czynienia tyle z kiepską prozą, to raz chociaż (o zgrozo) musi się ucieszyć oryginalnym rymem. Zwłaszcza, że z tym felietonem sytuacja jest naprawdę smutna. Dusza w muzyce słowa szuka więc pociechy. (Tu odrzucam pokusę rymowania z błądzeniem pod strzechy). Bo wspomnienie tego co się stało ciąży mi ołowiem. A co się stało opowiem.

Wstęp prozaiczny

Ogłosiliśmy wewnętrzny konkurs redakcyjny na felieton jubileuszowy. Wpłynęło kilka prac. Pierwsza była podpisana — M.A.W. Druga — W.A.M. Trzecia — A.W.M. Czwarta po prostu — Marek. Piąta — Antoni. Szósta — Wasilewski. Siódma Żuk. Przeczytaliśmy wszystkie. Zwołaliśmy gremium autorskie. Tłumaczyliśmy, że nie o to chodzi, że za długie, że czytelnikom czego innego potrzeba, że za mało w tym pomysłów. Gremium się nie obraziło, ale coś tam mówił z zakresu zoologii, przy czym można się było domyślić, że zatrzymując się bliżej nad opisem czworonogów typu Asinus Redactoreus miał jakieś dwuznaczne intencje. Ostatecznie zamknął drzwi od strony korytarza i pozostawił nas wobec tak zwanego faktu niedokonanego. Pomyślcie, ile okazji stracił.

Okazja pierwsza.

Przedstawić zespół redakcyjny jako zespół orkiestralno - śpiewaczy.

Proszę.

Dyrygent — Bolesław Piasecki. Interpretator wielu utworów. W programie:

„Etiuda ewolucyjna", „Preludium ef-ef", „Symfonia socialistica".

Duży talent poli... foniczny. Świetne opanowanie instrumentów dętych i szarpanych (wewnętrznymi sprzecznościami). Umiejętność pogodzenia w jednym programie skocznego mazurka z wzniosłym chorałem...

Konstanty Łubieński — pierwsze skrzypce. Autor słynnej arii starosłowiańskiej „Oj, Łado, Łado" i głębokiej pieśni ludowej „Cóżem ci za-Wawrynił Stasieńku". Bierze często za wysokie tony, ale taki już jego smyk (czytaj smak).

Wojciech Kętrzyński — drugie skrzypce. Występy we Francji, wyjazd z kwartetem do Sztokholmu. Wizy do Londynu, dranie, mu nie dali. Jego muzyka tchnie pokojem.

Dominik Horodyński — flet. Kapitalna technika zapychania jednej dziury po drugiej. Wykazywał się nią zwłaszcza w redakcji „Dziś i Jutro" jako redaktor naczelny. Jego ulubione melodie polskie: „Wiesiełyj wietier", „It s a long way to Tipperary", „Sur le pont d'Avignon".

Paweł Jasienica — basetla. Bez jego głosu orkiestra grałaby słabiej. Ach, ten polonez na szlagońską nutę. Albo te przygrywki jak w janczarskiej kapeli. Przypomina się, panie, Reymont, uśmiecha się, panie, Żeromski, a to gra — polskością, zdrową tradycją, antydulszczyzną. Ech, dumał, nie dumał, Jasienicą nie budiesz.

Dyrektor(ka) Pax-u — matowy alt. Główna pasja — kolędowanie. Pisze podobno pamiętniki pt. „Moje rozmowy z nimi". Oni — to autorzy książek, które nigdy nie będą wydane. Pamiętnik ma służyć uargumentowaniu tezy, że Pax to znaczy bellum contra grafomaniam. Zajęcie poboczne — stworzenie księstwa udzielnego Pani na Zielonej Okładce.

A młodsza ekipa?

Andrzej Micewski — świetne opanowanie trąbki capstrzykowej. Każdy jej ton ma określone znaczenie. Że deklaratywność, nieprawda? Że trzeba deklarować, nieprawda? Że w deklaracji, nieprawda? Że przez deklarację, nieprawda? W ogóle wybitnie de-klarowny umysł.

Tadeusz Mazowiecki — waltornia. Nie wydobywa innych tonów, tylko zasadnicze. Gra według zasady, że prawdziwy mistrz tym się tylko chlubi, iż głos jego w zespołowej harmonii się gubi...

Zygmunt Kubiak — zbłąkany we współczesność aoides. Z domu przychodzi w takt heksametra, wraca w takt pentametra, jego wędrówka po pokoju redakcyjnym przypomina elegijny dystych. Oprócz filozofii, filologii, biblistyki, historii, literatury, sztuki, metodologii, nauk ścisłych i humanistycznych niczym się w ogóle nie interesuje. Powiadają, że jedyną kobietą, która go zaintrygowała, była Oresteja.

Mikołaj Rostworowski — solista. Specjalność — pieśni liryczne i aria pt. „Kwestie społeczno - polityczne a zagadnienie wolności". Uprasza się o nieomylnie z — Janami, Stanisławem Kostką, Karolem Hubertem i 60 pozostałymi.

Mieczysław Kurzyna — urlopowany oboista. Można go słuchać i słuchać i nie przerywać drzemki. Ale jak go nie ma, to czuje się brak.

Wreszcie ten... no, duma (czytaj skromność) nie pozwala mi o nim mówić i bez niego jednak koncert tego zespołu jest rzeczą tak ciekawą muzycznie, że nawet pewnemu muzykologowi z Krakowa uszy drżą z niecierpliwości.

Dlaczego felietoniści nie wykorzystali tej okazji? A przecież to nie wszystko.

Okazja druga.

Przedstawić zespół w tzw. zabawie w cytaty. Zabawa polega na tym, że każdy na chybił-trafił wybiera sobie spośród przygotowanych kartek jakiś ukryty na niej cytat. Ileż tu możliwości. Wyciąga kartkę Piasecki. Czyta: „Co to będzie, co to będzie?" Wyciąga kartkę Łubieński. Czyta: „Znacie? Znamy, znamy. No, to posłuchajcie". Wyciąga kartkę Kolendo. Czyta: „Rozpraszajcie egzemplarze, aby latały z rąk do rąk". Wyciąga kartkę Kubiak. Czyta: „Już się pod koniec ma starożytnemu światu..."

A inni? Pomyślcie, jaki cytacik można by wybrać każdemu. No, cóż, jeszcze jedna okazja stracona.

Ostatnia szansa

Ale jeszcze nie wszystko stracone. W grudniu chyba urządzimy sześćdziesiątą pierwszą miesięcznicę Zespołu. W styczniu można urządzić obchód z okazji wkroczenia w Nowy Rok. W lutym przypada 3276-ta tygodnica istnienia pisma. Może tej szansy felietoniści nie przegapią. Ale w tym numerze sprawa jest zdecydowana.

Felietonu nie będzie.

Licho

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Druk W. Z. G. Oddz. 01, Warszawa, Tamka 3. Zam. 4604. B-129099.